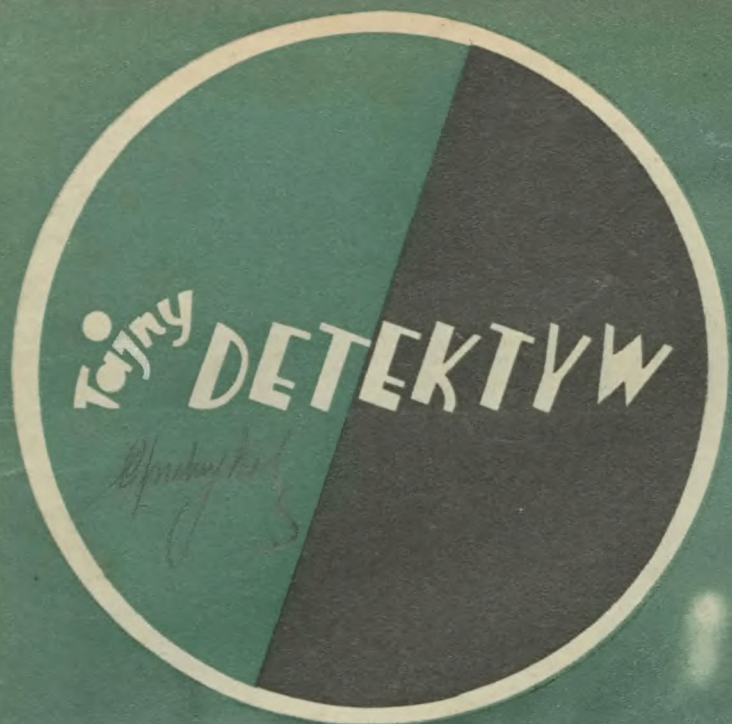




Nr. 6

4 LUTEGO 1934 roku.
Rok IV. Cena 30 groszy.
W Czechosłow. Kc. 1'20

ZA KULISAMI „TEATRU NOWEGO”.

Romana Jezierską i Antoniego Różyckiego w sztuce A. Siedleckiego: „Czwarty do brydża”, aktorzy dramatu życia, który nie rozegrał się na deskach scenicznych.— Szczegóły wewnątrz numeru.

Fot. Malarski, Warszawa.



Zwłoki śp. generała Rynkiewicza na podłodze jego sypialni. Fot. T. Detektyw.

Wilno

(od naszego koresp.).

Kirem wielkiej żaloby okryło się całe Wilno na wieść o tragicznym zgonie jednego z najsławniejszych obywateli. Zamordowany został generał Henryk Zygmunt Rynkiewicz, znany filantrop i dobroczyńca, człowiek kryształowej czystości i prawego charakteru. Zginął on z ręki bandyty, w biały dzień zgładzony we własnym mieszkaniu. Potworność tej zbrodni przeraża wszystkich, i wywołuje smutne refleksje. Trudno pogodzić się z myślą, że znaleźli się ludzie, którzy poważali się targnąć na życie tego staruszka, przez całe miasto szanowanego i lubianego, który ostatnie lata swego życia poświęcił dla innych, otworzył swoje serce i dom dla nędzarzy, opiekował się sierotami, prowadził działalność społeczną i charytatywną, a wszystkie dochody obracał na biednych, ratując niejedno życie od zagłady. To też śmierć generała Rynkiewicza poruszyła całe miasto i wstrząsnęła sumieniem obywateli. Wieść o jego tragicznym zgonie obiegła Wilno lotem błyskawicy i ściągnęła przed dom olbrzymie tłumy.

Dom o smutnej tradycji.

Zanim przytoczymy szczegóły zbrodni przypatrzymy się bliżej posesji, na terenie której ten okropny wypadek miał miejsce. Przy ulicy Beliny znajduje się okazała kamienica, oznaczona numerem 16. Jest to trzypiętrowy budynek składający się z kilkudziesięciu mieszkań, w tym z kilku większych, zajmowanych przeważnie przez bogatych ludzi. Dom wznosi się na lekkiej pochyłości wzgórza, co powoduje, iż jest on najwyższą budowlą w całej dzielnicy Nowego Świata, brak zaś dookoła drzew otwiera nań widok z wszystkich stron. Dookoła tej posesji rozsiadły się małe kamieniczki jedno lub dwupiętrowe i parterowe domki drewniane, które w porównaniu z kolo- sem są jakby miniaturowkami. Dom ma już swoją smutną tradycję. W czasie wojny światowej w jego obrębie zamordowano jakąś młodą dziewczynę o niewiadomym pochodzeniu, a przed rokiem mniej więcej był terenem zuchwałego napadu rabunkowego na mieszkanie geometry. W godzinach rannych, gdy w mieszkaniu oprócz żony geometry nikogo nie było, sprawcy wdarli się do wnętrza, steroryzowali przeleknioną kobietę, zabili ją następnie i zrabowali około 5.000 rubli w złocie ze schowków, urządzonych w wydrążonych nóżkach łóżek metalowych, poczem niespostrzeżeni przez nikogo uciekli. Pomimo skrzętnych i zmudnych poszukiwań, prowadzonych przez cały aparat śledczy we wszystkich kierunkach, sprawców nie udało się wykryć dotychczas.

Do tego właśnie domu przed jedenastu laty sprowadził się generał Zygmunt-Henryk Rynkiewicz. Zajął on na trzecim piętrze lokal 5-cio pokojowy i zamieszkał tam wraz ze swoją gospodynią A. Pietkiewiczówną, która usługiwała mu od szeregu lat. Generał, chociaż był zamożny, nie prowadził wystawnego życia. Życie płynęło w tem mieszkaniu spokojną, równą falą, bez żadnych wstrząsów.

Zbrodnia.

W sobotę, 27 stycznia r. b. od samego rana świeciło słońce, zapowiadając piękny dzień. Nikt wówczas nie mógł przewidzieć, że ten piękny ranek zaciąży nad tym domem jako ponure fatum, a do łańcucha zbrodni w nim spełnionych, przybędzie jeszcze jedno ogniwo, więcej krwawe niż poprzednie.

Około godz. 9-ej rano Pietkiewiczówna, zabrawszy koszyk, wyszła do Hali po zakupy, co czyniła zawsze o tej porze. Zabawiła tam przeszło półtorej godziny i na parę minut przed 11-tą powracała. Weszła po schodach frontowych na górę i zadzwoniła do mieszkania. Dzwoniła przez cały kwadrans, lecz nikt jej nie otworzył drzwi. Wówczas udała się przez tyłne schody. Idąc temi schodami, w pewnej chwili zauważyła, że drzwi do kuchni są otwarte, pomimo, iż dobrze pamiętała, że przed wyjściem zamknęła je na klucz. Szybko przebiegła dzielące ją od drzwi kuchennych schodki i wpadła do wnętrza. Obejrzała całą kuchnię i stwierdziła z zadowoleniem, że wszystko znajdowało się na swoich miejscach i niezgo nie bra-

kowało. Ale jakby wiedziona jakimś złem przeczuciem udała się czempredzej do następnych pokoi. Oczom jej przedstawił się straszny widok, krew ścinająca w żyłach: na podłodze między łóżkiem a drzwiami leżał generał z głową zmasakrowaną, która tworzyła jedną krwawiącą ranę. W mieszkaniu panował nieporządek; szufladki z biurka powyciągane leżały na podłodze, zaś dookoła porozrzucone były papiery.

Pietkiewiczówna, przerażona tym widokiem, jak opętana wybiegła z lokalu i zaalarmowała mieszkańców domu oraz przechodniów. W chwilę potem o wypadku powiadomiono pobliski komisariat Policji Państw. i wydział śledczy. Tymczasem wieść o strasznym odkryciu, podawana z ust do ust, obiegła całą dzielnicę. Przed dom zaczęły ścigać tłumy ludności, z początku z bliższych okolic, a później nawet i z dalszych. Gdy przybyła policja przed domem już stał wielki tłum.

Co padło pastwą zabójców?

Pobieżne oględziny stwierdziły, że bandyci, po dokonaniu morderstwa, splądrowali mieszkanie. Rozbito szafę, oraz wszelkie schowki i szuflady w biurku, które leżały wyrzucone na podłodze. Widocznie złodzieje nie wiedzieli, gdzie znajduje się biżuterja i pieniądze, gdyż poprzewracali całą garderobę i bieliznę, którą powyciągali z półek i rozrzućili po całym pokoju. Co padło pastwą rabusiów? Na razie tego nie sposób ustalić. Jak zeznała Pietkiewiczówna, która asystowała policji przy oględzinach mieszkania, zginęła cenna biżuterja. Czy pieniądze również zginęły — niewiadomo, ponieważ mogłoby to ustalić jedynie ś. p. tragicznie zmarły.

Wszystko wskazuje, iż sprawcy napadu a zarazem i morderstwa oddawna planowali grabież i w tym celu zapoznali się należycie z rozkładem mieszkania i trybem życia domowników. Godzinę ranne, gdy Pietkiewiczówna udaje się po zakupy, były najodpowiedniejszą porą dla dokonania napadu. Moment ten wyzyskali sprawcy. Najprawdopodobniej zadzwonili oni do mieszkania. W drzwiach ukazał się generał, odrzucił go i wbiegli do środka, jednocześnie zadając mu cios w głowę, który, jak się później okazało, był śmiertelny. Gdy starzec padł na podłogę, zadano mu kilka dalszych ciosów, które zmasakrowały głowę w straszliwy sposób.

Wszystko jednak wskazuje, że bandyci zostali przez kogoś spłoszeni, bo nie zdołali splądrować całego mieszkania a tylko gabinet i dwa pokoje. Bardzo możliwe, że spłoszyła ich powracająca do mieszkania Pietkiewiczówna.

Zresztą



Dom przy ul. Beliny 16 w Wilnie, gdzie mieszkał gen. Rynkiewicz. Fot. T. Detektyw.

trudno to ustalić, bo mgła nieprzeniknionej tajemnicy okrywa ten straszny wypadek.

W czasie badań, prowadzonych w całym domu, odnaleziono na schodach porzucone narzędzie zbrodni. Jest to 30 cm. długości drąg żelazny, zakończony dużą kulą ołowianą wagi 1 klg. Drażek nosił ślady krwi.

Ciało tragicznie zmarłego generała, po dokonaniu pierwszych oględzin lekarskich przewiezione zostało do kostnicy przy szpitalu św. Jakóba. Część mieszkania, która stała się terenem najścia bandytów, została opieczętowana. Pozostawiono tylko dwa pokoje do dyspozycji Pietkiewiczówny.

Śledztwo w tej sprawie prowadzone jest w trybie doraźnym. W niedzielę, na drugi dzień po morderstwie, policja przeprowadziła w mieście obławę spodziewając się, że może uda się trafić na ślad przestępców. Wyniki śledztwa okryte są tajemnicą.

Do Wilna przybyła już rodzina zamordowanego, którą dopuszczono do zwłok po odbyciu sekcji. Dalsze szczegóły sprawy w miarę ich ujawnienia przez władze śledcze podamy w najbliższym czasie.

Emeres.

Śp. generał Henryk Zygmunt Rynkiewicz, znany filantrop i dobroczyńca ludności wileńskiej. Fot. Siemaszko, Wilno



3

Kraków w nocy.



...pod latarnią, na plantach, émy nocne...

Kraków w dzień, to miasto tradycji i historii, dźwigające na sobie patynę dziejów najświetniejszego okresu rozwoju Polski. Życie w nim płynie ustalonym nurtem, zawsze jednako spokojne, zrównoważone.

Z zapadnięciem jednak mroku, gdy zabłysną światła latarni, nabiera jakiegoś swoistego uroku. Ponuro i tajemniczo wyglądają jego mury, załamują się w ciemnych zaułkach migocące refleksy światła lamp ulicznych, dając zupełnie inny obraz, jak w dzień. To nocny obraz Krakowa.

Zapada wieczór. Zabrawszy ze sobą aparat fotograficzny, udałem się na nocną wędrowkę, by zebrać garść wrażeń i podzielić się z niemi z Czytelnikami „Tajnego Detektywa”. Szedłem właściwie bez planu, starając się tylko uchwycić na filmie najbardziej charakterystyczne obrazy nocy miasta, ilustrujące to jakieś inne, odrębne życie.

Kontrola „żółtych paszportów”.



Forpocząty zbrodni.

Migocą na plantach światła gazowych latarni. Gdzieś z głębokich nor i kryjówek przedmieść wielkiego miasta wylaniają się tajemnicze postacie, by rozpocząć życie ptaków nocnych.

Pod latarnią, czy gdzieś w cieniu na ławce dziewczęta uliczne. „Może pójdziemy panie Doktoru — zgodzę się. Mnie tam wszystko już jedno. Żyć i mieszkać trzeba. A może pan Doktor chociaż papierosem poczęstuje — noc taka długa i zimna!”

I tak codziennie émy nocne rozpoczynają swe życie. Życie bez jutra, bez przyszłości. Każda prawie z nich ma swego „opiekuna”. Rano musi oddać ciężko — o jak ciężko nieraz zarobione pieniądze, by miał za co pić i hulać. Dla siebie tylko tyle, by nie umrzeć z głodu. To życie... Światła gazowych lamp migocą. Poco myśleć o przyszłości. Weźniej czy później czeka każda z nich przysług. „Może pójdziemy panie Doktoru...”

W ciemnym zaułku pod Wawelem śpi staruszka. Skulona z zimna mimo okalających ją lachmanów — drży przez sen. Pochyla się nad nią posturunkowy. Jak się nazywacie babciu — gdzie wasz dom — a możecie zaslabli? Krótka wędrowka na



...w ciemnym zaułku śpi staruszka...

komisarjat. Imię, nazwisko. Nienotowana. Bezdomna. W przytulku niema już miejsca — gdzie spać? W dzień wyżebrze łyżkę strawy. Latem śpi w polach. Lecz teraz zima. Zaułek muru chroni przed wiatrem i zimnem. Pozwólcie panowie — rano skoro świt wstanę i pójdę. Przecież też chcę żyć...

Idę dalej w stronę Wisły. Zdaleka już rzucą się w oczy kontury masywu mostu Dębnickiego, jasno oświetlany lampami łukowymi. Dawno już zamarł ruch na moście. Od czasu do czasu przejeżdża samochód lub dorożka. Głuchodudnią koła na moście. Obok zejście pod most. We wnękach pod filarami mostu, skulone postacie. Mężczyźni i kobiety. Tu i ówdzie jarzy się wśród nocy ogień papierosa. Bezrobotni i bezdomni. Jednakowo, monotonnie szmerzą fale Wisły, kołyszą do snu. Może jutro znajdzie się jaka praca... Może... Stracili już nadzieję na lepsze jutro. Żeby skończyć swe życie, trzeba mieć odwagę... Oni jej nie mają. To ludzie złamani fizycznie i moralnie.

W imię prawa!

Kilkadziesiąt metrów dalej inny obrazek. Z galerii, stojących z węglem na Wiśle, oderwały się

STANISŁAW SZCZĘSNOWICZ

em. naddrektor Zakładu karg.

OMYŁKI SĄDOWE.

2) Gościński zaprzeczył stanowczo swojej winie. Podczas rozprawy sądowej, czując się niewinnym, siedział zupełnie apatycznie i nie słuchał nawet gadania świadków, uważając to za plotki, przekonany, że sąd będzie mu musiał winę udowodnić.

Prokurator powołał w akcie oskarżenia trzech świadków dowodowych, a to: fiakra z Muszyny, który jadąc z dworca kolejowego do miasta, obok domu, gdzie Gościński pracował — widywał go codziennie siedzącego przed domem, który więc także w krytycznym dniu musiał go widzieć — jakas żebraczkę i notoryczną pijaczkę, która zeznała, że widziała Gościńskiego w dniu krytycznym jeszcze popołudniu na wzgórzach polskich w pobliżu Muszyny i 10-letniego chłopaka Jasia N., który podał, że widział, jak Gościński chatę podpalił, podłazłszy pod dach po wystających narożnych belkach chaty.

Akt oskarżenia podawał nadto, że chłopiec ten zapytany, gdzie wtedy stał, gdy widział Gościńskiego podpalającego chatę, wskazał to miejsce, a sąd stwierdził, że odległość od tego miejsca do podpalonej chaty wynosiła 1.000 kroków. Przy wizji lokalnej zarządzanej przez sąd, przeczołgał bądź Gościński, bądź inni ludzie obok chaty, lecz donosiciel ani Gościńskiego ani innych ludzi nie poznał.

Akt oskarżenia podaje, że według opinii członków tej komisji sądowej chłopak tłumaczył się, że Gościńskiego dawno nie widział. Było to w jakie sześć tygodni po pożarze, więc w każdym

razie nie tak dawno, by kogoś po tym czasie już nie można było poznać.

Mimo tego ława przysięgłych (wieśniacy) dali wiarę zeznaniom 10-letniego chłopca i potwierdziła winę Gościńskiego 12 głosami, a sąd zawyrokował karę dożywotniego więzienia ciężkiego ze względu na to, że pożar spowodował poparzenie, a w następstwie śmierć małego dziecka w spalonej chatce.

Celem ustalenia czasu, w jakim można odbyć drogę 8-kilometrowej odległości poprzez góry z Muszyny do Bardjowa, sąd przesłuchiwał świadków z pomiedzy tutejszej ludności. Jeden z nich podał, że można tę drogę przebyć w 6-ciu godzinach, drugi, że w czterech, a jeden, że wystarczy nawet trzy godziny. Stwierdzono nadto zeznaniem gospodarza domu w Bardjowie, że Gościński przybył tam około godziny 3-ciej. Gdy więc pożar wybuchł o godz. 12-tej w południe, to przyjęto za możliwe, że Gościński odbył tę drogę w trzech godzinach. W akcie oskarżenia wyrażono przytem zdziwienie, że obcy człowiek, tj. gospodarz w Bardjowie podał tak dokładnie czas przybycia Gościńskiego do Bardjowa, podczas gdy własna siostra nie mogła tego stwierdzić. Widocznie nie wzięto tu pod uwagę ani tego faktu, że gospodarz domu mógł zapamiętać sobie dokładnie czas przybycia obcego człowieka z zagranicy i czas oczekiwania jego na siostrę, ani też, że siostry Gościńskiego nie było w chwili przybycia w domu i wreszcie, że siostry nie mają zwyczaju sprawdzania na zegarze godzin przybycia brata.

Tu muszę zauważyć, że przez kilka dni poprzedzających spisanie protokołu z Gościńskim, obserwowałem go, przechodząc do pracowni, w której był zajęty przy wyrobie skarpetek na maszynkach. Zaobserwowałem wówczas, że człowiek ten liczący wówczas około 29 lat, wyglądał jakby miał najmniej 40, a na twarzy jego i w spojrzeniu obserwowałem ogromne przygnębienie. Według opinii księdza kapelana, nauczyciela i urzędników straży więziennej,

zachowywał się on w czasie prawie 5-letniego pobytu w więzieniu wzorowo, nie wdawał się w rozmowy, a w kościele służył do Mszy św.

Opowiadanie jego zrobiło na mnie olbrzymie wrażenie. Nabierałem przekonania, że wyrok polegał na omyłce.

Protokół spisałem dopiero w kilka dni potem, kładąc sobie jeszcze raz wszystko opowiedzieć. Niestety Sąd w Nowym Sączu odmówił prośbie Gościńskiego o wznowienie postępowania karnego, a równocześnie odniósł się do Dyrekcji Zakładu Karnego z zapytaniem, kiedy doreczono Gościńskiemu poprzednią uchwałę sądu, odmawiającą wznowienia. Odpowiedziałem sądowi, że uchwała do Dyrekcji wcale nie wpłynęła. Jak się później dowiedziałem, sprawa zaginięcia tej rzekomo wysłanej uchwały była przedmiotem osobnego dochodzenia, przyczem winni tłumaczyli się, że akt odnośny przykleił się do świeżo lakierowanego stołu i wskutek tego zaginął.

W nowej uchwale sądu odmówiono wznowienia sprawy dla braku nowych okoliczności, pomimo, że wójta nie przesłuchano, czy Gościńskiego w dniu 18 sierpnia widział w karczmie na drodze z Muszyny.

Odwolanie Gościńskiego do sądu apelacyjnego odrzucono również.

Sporządziłem z nim drugi protokół, z dokładniejszym opisaniem szczegółów, lecz i to nie odniosło pożądanego skutku, a odwołanie sąd apelacyjny ponownie odrzucił.

Wtedy przedstawiłem Gościńskiemu, że widocznie świadkowie musieli zeznawać fałszywie, szczególnie ów 10-letni chłopak i zapytałem go, czy przypadkiem nie miał z tym chłopakiem jakiego zatargu.

Polecilem odprowadzić go do celi i zaleciłem, aby się starał przypomnieć sobie swój stosunek do owego chłopca, który do swego kłamliwego zeznania musiał mieć jakąś przyczynę, gdyż inaczej niema widoków na wznowienie sprawy.



...z galaru oderwały się jakieś postacie...

jakieś postacie. Uciekają. Za nimi w pośpiechu policja. Ujęci. Kradli węgle. Tłumaczy, że nie zawodowi złodzieje. W domu żona i dzieci i... głód. Chociaż raz na dzień trzeba zjeść łyżkę gorącej strawy i żeby ciepło chociaż było... Zima wszystkim dolega...

Przechodzę ulicą Smoczą. Pustka. Krętymi, wąskimi uliczkami przedostaje się na Kazimierz. Ulica Krakowska. Rozwalona jakaś rudera. Wehódź do wnętrza. Z budynku zostały tylko piwnice. — W świetle elektrycznej lampki widać jakieś otwory. To wejścia do nor w piwnicach, gdzie mioty społecznie mają swe mieszkania. Trochę słomy, jakimś papierem obite ściany. Na przestrzeni kilku metrów kwadratowych leżą pokotem pogrążeni we śnie. Nad nimi schylona sylwetka policjanta, przeprowadzającego nocną rewizję.

Dobroczyńcy...

Nieco dalej, przy tej samej ulicy, przytułek Braci Albertów. Otwiera się dla mnie brama, o tej porze

Rewizja w piwnicach na ul. Krakowskiej.



dla lokatorów przytułku zamknięta. Małe podwórze, sionka i wejście do sal schroniska. Wehódź do jednej ze sal. Szereg tapczanów, a raczej przyzwykłych łóżek. Na nich i pod nimi, na podłodze tymczasowi, na jedną noc, lokatorowie przytułku. Postacie wynędzniałe, brudne i obdarte. Wśród nich nieraz ludzie, którzy kiedyś byli „czemś” w życiu. Jakiś nauczyciel ludowy, zwany szumnie tam „profesorem” — jakiś urzędnik i wielu innych. Złamani życiem wyrzutki społeczeństwa. Gdyby nie dobroczynność Zakładu, gdzie mogą znaleźć suchy i ciepły kąt i dach nad głową, nocowaliby, jak tamci pod mostem. Chwilę rozmawiam i wychodzę. Zaduch, panujący na sali, staje się nie do wytrzymania.

Ręce do góry!

Zaraz obok ulica Piekarska. Tajemniczo zarysowują się kontury kościoła na Skalce. Ulica prawie pusta. Zdaleka pod latarnią ujrzałem jakieś sylwetki. Z mroku wylania się patrol tajnej policji śledczej. Z przeciwnej strony szedł jakiś podejrzanym osobnik. „Stać — ręce do góry — Policja. O, tośmy pana długo szukali. Ale wiadomo, góra z górą się nie zejdzie — ale my ze sobą jak się szukamy, prawie zawsze. No — pójdziemy. Dla pewności tylko, że będzie



W przytułku Braci Albertów.

pan grzeczny, nałożymy kajdanki”. Ostrożność nigdy nie zaszkodzi, szczególnie wobec tych, którym grozi kilka, lub kilkanaście lat więzienia.

Wracam do miasta. Z lokali klubowych i dancin-gów dobiegają echa muzyki i zabawy. Karnawał. Ludzie się bawią. Jedni dla rozrywki, drudzy, by zapomnieć o kłopotach życia codziennego.

Mijam Rynek Główny. Jasno żarzą się światła neonowe reklam i szyldów. Suną po gładkim asfalcie auta — krzyżują się dorożki i tramwaje. Przedej... Przedem... Każdy spieszy gdzieś indziej. Oglusza ryk klaksonów, oślepiają światła reflektorów. Ruch paleczką posterunkowego — ruszył wąż samochodów i dorożek. Przed siebie z celem lub bez celu.

Knajpa apaszów.

Przechodzę ożywionym odcinkiem linii C—D, ulicą Florjańską, Basztową. Zdaleka zarysowują się kontury dworca kolejowego. Wejście schodami na górę — obok ciemny zaułek. Knajpa czy restauracja, jak kto woli. Sztamlokal „cór Koryntu” i „kawalerów Łomu i Noża”. Przed knajpą „świeca”. Jeden z „ferajny”. Tak dla bezpieczeństwa. Nie



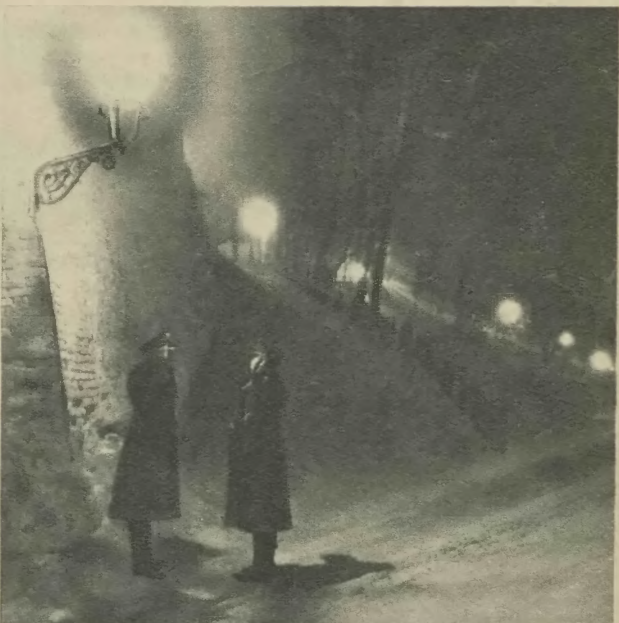
Wejście do knajpy apaszów pod mostem kolejowym.

wszyscy, co są w lokalu i bawią się, mają czyste sumienie. Na sali gra orkiestra. Uprzejmy gospodarz zaprasza do wnętrza. Towarzystwo jest swoje. Można się bawić. Leje się piwo i wódka. Tańczy para za parą. Tu inaczej się bawią. Wre życie. Temperament znajduje wyładowanie w swoim tańcu, czasem w bijatyce. Smutnie zawodzi harmonja, wtórują jej skrzypce i fortepian. Mały incydent, ktoś kogoś uderzył. Błysnęły noże...

Tam skończyłem swą wędrówkę. Na niebie już dniało. Na wyniosłej wieży Marjackiej strażak zawodził swój hejnał... Minęła jedna z nocy, jak wiele innych jej podobnych. Na ulicach cisza... Granatowe mundury są jednak zawsze na swym posterunku. Nad miastem czuwają władze bezpieczeństwa... Noc Krakowa jest spokojna!

Fr. Bibulski.

Zmiana posterunków P. P. pod Wawelem.



Gościński zgłosił się przy raporcie już następnego dnia i podał, że około 2 tygodnie przed pożarem mieszkał u jego gospodarza jakiś ksiądz przybyły na kurację z Królestwa Polskiego, a on go obsługiwał. Ksiądz ten posiadał czarną hebanową laskę ze srebrnym okuciem, którą dostał od kogoś na pamiątkę i chodził, podpierając się tą laską, codzień do kąpieli w rzece Muszynie. Pewnego dnia, gdy ksiądz się kąpał, rzeczka nagle wezbrała. Wtedy ksiądz, zebrawszy ubranie, chwycił się gałęzi drzewa nad rzeczka i dopiero chłopci, dopłynąwszy czółnem do tego drzewa, wyratowali go z niebezpieczeństwa. Jeszcze w tym samym dniu, gdy burza ustala, a woda szybko opadła, chciał ksiądz pójść drugi raz do kąpieli. Wtem zauważył, że niema laski, która widocznie została na brzegu i prawdopodobnie woda ją zabrała. Na polecenie księdza poszedł Gościński na miejsce, gdzie ksiądz się kąpał i gdzie dzieci się bawiły i zapytał je, czy które z nich nie znalazło laski. Dowiedziawszy się, że widziano, jak jeden chłopak niósł po bawie jakąś laskę czarną do domu, poszedł pod wskazanym adresem. W domu tym zastał tylko dwóch małych chłopców, z których jeden 10-letni nazywał się Jaś, drugi zaś jego braciszek miał lat 5. Rodziców nie było w domu, gdyż był to czas żniw, więc byli w polu. Jaś zapytany odpowiedział, że nie znalazł laski. Gościński powiedział Jasiowi, że laskę czarną okutą srebrem zgubił ksiądz, który mieszka u jego gospodarza, i dodał, że znalazca może dostać znaczne, przyczem wyjął z kieszeni koronę i trzymał ją w ręku. Wtedy Jaś podeszedł do chaty i wyciągnął z pod strzechy znaną laskę, zaś Gościński powiedział mu wtedy, że znaną laskę powinien był oddać ojcu albo wójtowi, a nie chować do strzechy i zatajać, bo to wygląda tak, jakby ją był ukradł. Wreszcie powiedział mu, że wobec tego właściwie nie mu się nie należy i dał mu tylko 10 halerzy. Jaś rzucił pieniądze pod nogi Gościńskiego i nazwał

go złodziejem i oszustem. Oburzony tą obelgą uderzył Gościński Jasia kilka razy laską.

W dwa tygodnie po tem zajściu, gdy Gościński udał się rano do siostry do Bardjowa, wybuchł ten nieszczęśliwy pożar i wtedy Jaś zgłosił się do sądu z doniesieniem, że widział, jak Gościński ogień pod dom podłożył.

Spisałem więc z Gościńskim nowy protokół dokładny z jego nowym opowiadaniem i odesłałem go do sądu powiatowego w Muszynie celem przesłuchania owego chłopca, dziś starszego już mężczyzny.

W jakiś czas potem otrzymał Gościński od matki list, z którego dowiedziałem się o dalszym losie tej sprawy w sądzie w Muszynie. W liście tym pisała matka Gościńskiego, że sędzia tamtejszy wezwał owego Jasia, który liczył już teraz 17 lat i zapytał go, czy przypomnia sobie, że będąc jeszcze małym dzieckiem, znalazł pewnego dnia nad rzeką czarną laskę okutą srebrem i czy dostał wtedy jakie wynagrodzenie. Jaś ów, obecnie Jan, myśląc, że teraz pewnie wynagrodzenie otrzyma, odpowiedział, że żadnego wynagrodzenia nie otrzymał, lecz że go jeszcze za to obito. Na to sędzia: A to galgan, powinien za to siedzieć w kryminale.

— Ano siedzi on, proszę pana sędziego — odpowiedział chłopak.

— A za co siedzi? — zapytał sędzia.

— Siedzi na Wiśniczu za podpalenie...

— Kogóż on to podpalił? — pyta dalej sędzia.

— On ta, proszę pana sędziego — mówi na to chłopak, nie myśląc o skutkach swej odpowiedzi — nikogo nie podpalił, tylko ja byłem zły o to, że mi obiecal koronę, a dał tylko szóstkę i jeszcze mnie obili, więc powiedziałem, że to on chatę podpalił.

Sędzia spisał protokół z Jasiem i zwolnił go, gdyż za zeznania nieprawdziwe w dziecięcym wieku, nie mógł go pociągnąć do odpowiedzialności.

Gdy chłopak wrócił do domu, zapytali rodzice, w jakiej sprawie chodził do sądu, a on im odpowiedział:

— Ano za tę laskę...

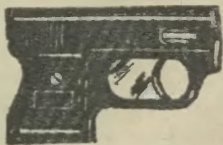
— Za jaką laskę?

Wtedy chłopak opowiedział rodzicom, co to było z tą laską i co zeznał w sądzie.

— A cóżes ty najlepszego zrobił — krzyknęli na to rodzice. — Pociószes się przyznał? Teraz ty będziesz siedział za Gościńskiego w kryminale. Lećże od razu do sędziego, aby nie było zapóźno i powiedz, że ci matka Gościńskiego groziła, że cię zamorduje. (C. d. n.)

Nowość! Automat-Browning 6-cio mm.

wyrzucający sam gilzy po wystrzale. Oryg. opatent. na całym świecie automat. syst. Longines 2, strzelający do celu metalowymi kulami, lub strumem do placu, pięknie oksydowany, płaski, zapewnia zupełne bezpieczeństwo, osobiste, huk ogłuszający. Cena tylko zł. 8.95, 2 sztuki 16.50, 10-cio strzał. zł. 22.—. Setka kul 3.75. Szczegółowe do czyszczenia lufy dajemy darmo. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy za zaliczeniem poczt. Koszty przesyłki płaca kupujący. — Adresować:



Przedst. Fabr. Broni „STRZAŁA”

Warszawa, ul. Dr. Zamenhofa 12, oddz. 9.

KURSY MATURYCZNE WIEDZA KRAKÓW

przygotowują w drodze korespondencji, za pomocą przystępnie i wyczerpująco opracowanych skryptów, programów i tematów, oraz na lekcyjach zbiorowych: 1) do egzaminu dojrzałości gimn., 2) do egz. z 6 kl. gimn., 3) w zakresie 4 kl. gimn., 4) do egz. z 7-miu klas Szkoł. Powsz. UWAGA! Uczniowie kursów korespond. otrzymują co miesiąc oprócz materiału naukowego, tematy z 6-ciu głównych przedmiotów do opracowania. Wykładają wybitne sily fachowe. Oplaty b. niskie. Prospekty darmo!

DROGA, Z KTÓREJ NIEMA POWROTU.



Domek przy ul. Świętokrzyskiej 32 należący w połowie do śp. Antoniny Mańkowskiej, gdzie dokonano morderstwa.

Lwów, (od naszego korespondenta).

Wstrząsające odkrycia dokonano we Lwowie, w małym parterowym domku przy ul. Świętokrzyskiej 32, zajmowanym przez rodzinę krawcy Węwałowicza i emerytowanej nauczycielki Antoniny Mańkowskiej. W kuchni należącej do Mańkowskiej znaleziono jej zwłoki. Natychmiast zaalarmowano władze bezpieczeństwa, które wdrożyły dochodzenia, uwieńczone w ciągu 15 godzin zupełnym sukcesem. Na miejscu udało się współpracownikowi naszego pisma zebrać szczegóły dramatu, jaki się rozegrał w mieszkaniu Mańkowskich. Ustalono, że morderstwa dokonano dwa dni przed odkryciem zwłok. Do mieszkania nikt nie zaglądał, ponieważ od podwórza, na zewnętrznej stronie drzwi wisiała kłódka. Nikomu przez myśl nie przeszło, że zaciśnięte zwykle mieszkanie kryje obecnie ponurą tajemnicę. To też, gdy ze szkoły powróciły dzieci Mańkowskiej: 9-letni Mieczysław i 12-letnia Stasia i zastały drzwi zamknięte — sądząc, że matka wyszła na kupno udały się do sąsiada Węwałowicza, u którego znalazły tymczasowy schron. Nieobecność Mańkowskiej przedłużała się jednak i dzieci nocowały u krawcy. Nie przeczuwały, że tuż za ścianką pruska leżą już tylko zwłoki, tragicznie zmarłej matki. Poszukiwano Mańkowskiej 148 godzin, aż wreszcie zdecydowano się donieść o wszystkim policji. Zerwano kłódkę i oto tuż obok drzwi kuchennych leżały zwłoki Mańkowskiej, obok siekiera i kolba do lutowania. Widocznie, ktoś dobrze obeznany z stosunkami panującymi w domu wszedł — bez przeszkód do kuchni i kolbą do lutowania oraz siekierą — dokonał zbrodni. Na miejscu znaleziono też rękawice wojskowe, które posłużyły do rozwikłania zagadki:

Kto zamordował?

Ś. p. Antonina Mańkowska, emeryt. nauczycielka pobierająca 106 zł. pensji miesięcznej, wyszła przed 13 laty za wdowca, emerytowanego kolejarza M. Mańkowskiego, mającego dwóch dorastających wczas synów, dziś 20-letniego Wacława i 21-letniego Bolesława. Pożycie małżeńskie było dobre, a owocem tegoż dwoje dzieci. Mańkowska, z domu Ładaczkówna wniosła jako własną parcelę na Bogdanówce przy ul. Konduktorskiej 35. Z czasem wybudowali tam Mańkowscy własną kamieniczkę, w której zamieszkał ojciec Mańkowskiej, Ładaczek 75-letni emerytowany terejan szkolny. Mieszkanie zapisano mu dożywotnio.

W grudniu ub. roku, tuż przed świętami Bożego Narodzenia Mańkowski zmarł i na gospodarstwie pozostała żona Antonina z czworgiem dzieci (dwoje własnych i dwóch pasierbów). Nie chcąc mieszkać na peryferiach, Mańkowska — wbrew sprzeciwowi ojca — sprzedała kamienicę przy ul. Konduktorskiej na Bogdanówce za 23 tysiące złotych. Z uzyskanych pieniędzy kupiła Mańkowska za 8 tysięcy pół kamienicy przy ul. Świętokrzyskiej, gdzie zamieszkała z dziećmi, pozostałe zaś pieniądze ulokowała w kilku instytucjach bankowych. Na tle podziału ojcowizny dochodziło często do scysy między ś. p. Mańkowską a pasierbami domagającymi się coraz natęczywiej pieniędzy. W ostatnim czasie starszy Bolesław zachorował na zapalenie stawów i odwieziony został do szpitala powszechnego, zaś młodszy pasierb Wacław po wstąpieniu do wojska, otrzymał przydział do VI Dyonu Samochodowego we Lwowie.

Władze policyjne orjentując się w sytuacji wdrożyły dochodzenia w jednym kierunku, który się okazał trafny i doprowadził do ujęcia sprawy. Miano w ręku takie dowody, jak rękawiczki wojskowe i kolbę do lutowania oraz siekierę, na której widniały odciski palców sprawcy. W VI Dyonie Samochodowym natychmiast po otrzymaniu wiadomości o ujawnieniu mor-

derstwa na osobie Mańkowskiej zrozumiano, że czynu tego dokonał jej pasierb, szeregowiec Wacław Mańkowski, którego rękawice — znalezione na miejscu zbrodni rozpoznano jako jego własność, pochodzącą z intendatury wojskowej. Podejrzenia te poparte zostały faktem dezercji Mańkowskiego, który tuż po zbrodni wydał się z koszar i więcej do nich nie powrócił. Jacyś dwaj chłopcy przynieśli nazajutrz po dezercji Mańkowskiego do koszar VI Dyonu Samoch. mundur Mańkowskiego, z wyjątkiem rękawiczek. Wdrożone poszukiwania doprowadziły do ujęcia mordercy około 5-ej nad ranem w mieszkaniu przy pl. Strzeleckim 2.

Gdy policja wkroczyła, Mańkowski zerwał się z łóżka i stanawszy „na baczność” z miejsca zameldował: „Jestem mordercą Antoniny Mańkowskiej”. Po chwili — już w Wydziale Śledczym — Mańkowski z całym spokojem i niezwykłym cynizmem opisał ponurą scenę zbrodni.

Wojskowy sąd doraźny.

Jak się tłumaczy pasierb, który dopuścił się morderstwa rabunkowego: Czuł on żal do macochy o to, że dom na Bogdanówce ojciec jej zapisał, a nie jemu i jego bratu Bolesławowi. Z tego powodu — jak sam podaje — urządzał macosze bardzo często awantury, kłócił się z nią i żądał pieniędzy. Krytycznego dnia postanowił rozprawić się z nią generalnie. Przybył około 10-ej przedpołudniem, gdy dzieci bawiły w szkole. Przez nikogo niedostrzeżony, wszedł do wnętrza i zastał macochę przy prasowaniu bielizny. Zażądał pieniędzy. Spotkał się z odmową. Z odmową stanowczą, przyczem ś. p. Mańkowska zagroziła wezwaniem pomocy sąsiadów w razie, gdyby nie ustąpił. Wówczas nie zaponował już nad sobą i uderzył macochę kolbą po głowie. Gdy ofiara się zachwiała i ostatnim wysiłkiem, przyciszonym już głosem zaczęła wzywać Węwałowiczów — Wacław zadał jej jeszcze kilka ciosów w głowę i plecy. Po tych zeznaniach szeregowca Wacława Mańkowskiego oddawiono do dyspozycji żandarmerji wojskowej, poszukującej go od dwóch dni za dezercję. Z ramienia wojskowości wdrożyli dochodzenia prok. mjr. Mirzyński i sędzia śl. mjr. Borkowski. Na miejscu zbrodni odbyła się ponowna naocznia sądowa, w której wzięła udział policja z kom. Bartuzelem na czele, oraz żandarmerja wojskowa.

Po morderstwie Mańkowski — w towarzystwie Hrynka — udał się do Kasy Oszczędności, gdzie podjął 600 zł. Z pieniędzy tych zakupił dla siebie ubranie i paltó, a dla Hrynka raglan. Z kolei poszli koledzy do lokalu śniadankowego i tak „śniadania” i „kolacje” przeciągały się przez dwa dni i dwie noce. Do kompanji przyłączył się trzeci amator zabawy, niejaki Horodejczak, który skwapliwie skorzystał z zaproszenia fundatora. Mańkowski nazajutrz po morderstwie podjął w kasie dalszych 400 zł i pieniądze te do chwili aresztowania prawie w całości wydał. Aresztowano także Hrynka i Horodejczaka, którzy będą odpowiadać przed sądem cywilnym, Mańkowski odpowiada przed Wojskowym Sądem Okręgowym Nr. VI we Lwowie. Ponieważ zachodzi tu typowy wypadek morderstwa rabunkowego, połączony z dezercją — Mańkowski staje przed sądem doraźnym. Sądu doraźnego Mańkowski się przelał i w długotrwałych zeznaniach starał się przeciągnąć termin, dzielący go od dnia rozprawy. Trybunałowi sądu doraźnego przewodniczyć będzie szef sądu płk. Müller.

Dziećmi zamordowanej zaopiekowała się chwilowo emerytowana nauczycielka p. Ruszkowska, zam. przy ul. Świętokrzyskiej 56, która z ś. p. Mańkowską pozostawała w zażyłych stosunkach.

Rozprawa doraźna odbędzie się we wtorek. F. S.

Tragiczna śmierć inż. Zangena.

Borysław (od nasz. koresp.).

Ropę w Borysławiu wydobywa się zapomocą szybów, albo w prymitywniejszy sposób zapomocą t. zw. trójkątów, złożonych z 3 zwykłych słupów, ustawionych skośnie. Na jednej z takich kopalni, — na kopalni „Kostman III”, gdzie odpowiedzialnym kierownikiem jest p. inż. Lipski, miał miejsce w dniu 23 b. m. tragiczny wypadek, któremu uległ współwłaściciel tejże kopalni, 32-letni inż. Józef Zangen. W tym to dniu inż. Zangen udał się na swoją kopalnię, by przypatrzeć się postępowi pracy przy przebijaniu zagwożdżonego otworu świdrowego tejże kopalni. Zaznaczyć należy, iż ropę w trójkątach wydobywa się zapomocą motoru auta ciężarowego. Gdy inż. Zangen wysiadł z auta ciężarowego, w którym siedział razem z soferem, nagle zerwał się gwint ciężaru z nożycami, który to ciężar o wadze 600 kg. z wysokości 18-tu metrów spadł ze znaczną siłą na inż. Zangena. Doznał on złamania prawej ręki w 3 miejscach, oraz zmiążdżenia lewej nogi.

Inż. Zangen stracił przytomność, a po udzieleniu mu pierwszej pomocy przez lekarza dra Müllera, został od-



Inż. Józef Zangen, który uległ nie szczęśliwemu wypadkowi.



Kopalnia „Kostman III” (po prawej stronie tzw. trójkąt, z którego zerwał się ciężar 600 kg, oznaczone x).

wieziony do szpitala powszechnego w Drohobycz. Z powodu rozpoczynającej się gangreny zmiążdżonej nogi, dokonano amputacji tejże nogi. Przesłuchany przez sędziego śledczego Durkalcę inż. Zangen zeznał, że przebiegu wypadku nie pamięta, gdyż stracił wówczas przytomność, a do postępowania karnego nie przyłącza się. Na miejsce wypadku wyjechała komisja sądowo-śledcza, która przeprowadziła wizję lokalną.

Następnego dnia ofiara tragicznego wypadku, inż. Zangen zmarł w szpitalu, a żona jego, otrzymawszy straszną wiadomość, dostała ataku szału. Władze prowadzą energiczne dochodzenia celem ustalenia odpowiedzialności za wypadek. H. S.

Za kulisami „Teatru Nowego”.

(Dokończenie ze str. 3-jej).

Nadbiegły personel techniczny rzucił się na napastnika i w ogólnym zamieszaniu zaczęło go bić.

Wtedy to rozegrała się charakterystyczna scena.

Z garderoby wybiegła p. Jezierska, wołając rozpaczliwie:

— Nie bić mego męża.

Następnie własną osobą go zasłoniła.

Przybyła policja. Pierwsze słowa, z którymi zwrócił się Jezierski do policji były:

— Ja go muszę zabić!

Opuszczając zaś teatr w towarzystwie policjantów, rzucił na odchodne w stronę Różyckiego:

— Ale pan się teraz z moją żoną ożeni!

Obecnie Jezierski osadzony w więzieniu, wykazuje całkowitą rezygnację, nie chce widzieć swojej żony i trwa w mniemaniu, że miał podstawy do swojego gwałtownego działania.

Pani Jezierska natomiast rozpaczła nad losem męża, troszczy się o niego i czyni wszystko, by ulżyć jego doli, nie pozwalając nikomu wyrażać się o nim źle.

Por. Jezierski znajduje się pod zarzutem usiłowania zabójstwa.

Rzecz prosta, że największe zainteresowanie ogółu wywołała kwestja intrygi, powstałej na tle anonimów.

Według jednej hipotezy intrygi ukartowano na tle konkurencji, ażeby przeciąć karierę nagle rozbitego talentu. Według innych zaś przypuszczeń w grę weszła zazdrość trzeciej osoby na tle erotycznym. Należy jednak zauważyć, że dla władz śledczych kwestja anonimów nie przedstawia istotnego znaczenia. Gdyby nawet ujawniono sprawcę podłej intrygi, to i tak nie podlegałby on ściganiu z urzędu, a osoba, która przyczyniła się do całej tragedji, mogłaby być tylko zaskarżona prywatnie przez osoby poszkodowane o oszczerstwo i zniesławienie. Pomer.

Czy choroby płucne są uleczalne?

Pytanie to, nader ważne, zajmuje z pewnością wszystkich tych, którzy cierpią na astmę, nieżyt szczytów płucnych, chroniczny kaszel, flegmę, długotrwałą chrypke, grype i dotychczas bezskutecznie się leczą. Wszyscy ci chorzy otrzymają od nas — zupełnie darmo — książkę z ilustracjami Dr. med. Guttmanna, byłego naczelnego lekarza lecznicy Finsena pod tytułem: „Czy choroby płucne są uleczalne?”. Ażeby każdemu choremu dać możność wyjaśnienia sobie rodzaju swej choroby, zdecydowaliśmy się przesłać każdemu te książkę za darmo bez opłaty portu, mając na oku dobro ogółu. Poczłówkę (znaczek pocztowy 20 gr.) z dokładnym adresem wysył:

K. KEILICH, ODDZ. 868, ŁÓDŹ ulica GŁÓWNA L. 52.

KAROL ZAJICZEK NA ŁAWIE OSKARŻONYCH!



Powyżej: Trybunał, który rozstrzygnie w Morawskiej Ostrawie o winie i karze Karola Zajiczka (drugi od lewej przewodniczący s. o. dr. Hahn).

Na prawo: Gmach sądu okręgowego w Morawskiej Ostrawie, gdzie toczy się sprawa Zajiczka.

K Morawska Ostrawa (od specjalnego wysłannika).

Karwina — to centrum zagłębia węglowego Śląska po stronie czeskiej. Jest tu wiele kopalń, których szyby już zdaleka nadają tej przeważnie przez Polaków zamieszkałej dzielnicy specyficzny charakter. W sercu Karwiny mieszczą się dobra oraz gmach ich generalnej dyrekcji, własnością starego rodu Larisch-Mönnicha, jednego z niewielu właścicieli olbrzymich posiadłości rolniczych Śląska Cieszyńskiego.

Krótko po zakończeniu krwawego zmagania narodów, po wojnie światowej hr. Larisch-Mönnich zaangażował w charakterze syndyka prawnego, zamieszkałego wówczas w Cieszynie, adw. dr. Karola Zajiczka.

Po spadku marki polskiej hrabia kierując się wskazówkami swego doradcy prawnego, zdołał ochronić się przed fatalnymi skutkami dewaluacji. Hr. Larisch-Mönnich w tym czasie dostarczał węgiel ze swych kopalni do Polski.

Zajiczek zdołał sobie zaskarbić zaufanie magnata, aż wreszcie w dniu 7 lutego 1925 powołany został do Karwiny na stanowisko generalnego plenipotentą dóbr hr. Larisch-Mönnicha.

Zajiczek poza swym stanowiskiem „generalnego dóbr”, rozpoczął szeroką działalność, organizował coraz to nowe przedsiębiorstwa, w których był z poważnym kapitałem udziałowcem i współnikiem.

W dzień zdolny i surowy dla podwładnych przemysłowiec i kupiec o szerokim rozmachu — w nocy bywał we wszystkich lokalach nocnych, znany i bardzo lubiany przez wszystkich. Rozrzutność jego stała się tak okrzykiem, że Zajiczek ze względów „taksacyjnych” postanowił zmienić teren. Jako nowy teren dla swych nocnych wycieczek wybrał sobie Pragę, gdzie wynajął nader luksusowo urządzone apartamenty, składające się z 18 pokoi!

Po krótkim czasie i Praga stała się za ciasna. Pan generalny dyrektor zmienił placówkę i przeniósł swą działalność „towarzystwo” rozrywkową do Paryża, gdzie w hotelu „Antion” wynajął całe pierwsze piętro...

Zaniepokojony informacjami hrabia coraz bardziej interesował się życiem i działalnością Zajiczka. W końcu widząc, że podejrzenia co do osoby jego plenipotentą przybierają coraz to konkretniejszą postać, zwołał go niespodziewanie. Było to w dniu 1 lutego 1932 r.

Pod fałszywym nazwiskiem.

Powiadomiony o fakcie zwolnienia Zajiczka, dyrektor filii Banku Przemysłowego p. Peszek, udał się natychmiast do Karwiny. Po przedstawieniu salda hrabia stwierdził, że został okradziony przez swego zaufanego na kwotę siedmiu milionów Kc. Wezwany Zajiczek oświadczył hrabiemu, że zwróci sprzeniewierzoną kwotę i że po pieniądze natychmiast udaje się do Pragi.

Hr. Larisch-Mönnich wyczuwając kłamstwo, zażądał od Zajiczka paszportu „dla wszelkiej pewności”. Lecz i w tym wypadku oszust był już przygotowanym. Bez wszelkiego wahania wydał hrabiemu paszport, bo... miał inny...

Przyjaciel Zajiczka, niejaki Franz Raab z Pragi (który w międzyczasie zmarł), wystarał się mu o paszport dla Zajiczka na jego (Raaba) nazwisko. Pan „rzeditel” dr. Zajiczek znikł jak kamfora...

Listy gończe, rozesełane po tej i tamtej stronie oceanu, zaalarmowały policję całego świata, lecz Zajiczek był nie do odnalezienia.

Defraudant w międzyczasie spokojnie ze swym fałszywym paszportem jako pan Franz Raab, „kupiec z Pragi” pojechał przez Pragę do Kolonii i stamtąd przez Belgię do Paryża, gdzie podjął poważniejszą przez siebie przedtem zde-

nie, na podstawie którego nastąpiło aresztowanie Zajiczka. Obecnie p. hrabia Larisch-Mönnich oświadcza, że w żadnym wypadku nie czuje się poszkodowanym przez swego byłego plenipotentą. Zajiczek podczas rozprawy zeznaje, że na swym stanowisku pobierał pensję w wysokości półtora miliona koron cz. rocznie i z takiej pensji stać go była na życie, „odpowiadające jego stanowisku”. Rozprawa wywołała niezwykle poruszenie w całej prasie czeskiej i sąsiedniej austriackiej.

Obecnie oskarża tylko prokurator, który ze względów ustawowych nie mógł w ślad za „pierwotnie” poszkodowanym hrabią wycofać sprawy z wokandy sądu.

Zajiczek nawet i w Polsce był przemysłowcem. W Cieszynie był współnikiem „Śląskiej fabryki konserw”.

Wspólnie z obywatelami Cieszyna rzeźnikiem Kiszą, niejakim Emilem Borgerem, Neugerem i Rosenzweigiem założył on w 1930 r. przedsiębior-

stwo pod wyżej wymienioną nazwą. „Kielbaski śląskie” w puszkach blaszanych były „głównym artykułem” tej fabryki. Lecz wszechwładny kryzys położył kres przedsiębiorczości dr. Zajiczce i jego polskim współnikom. „Kielbaski konserwowane w sosie” padły ofiarą złych zarobków „smakoszy”. Fabryka przestała płacić swe zobowiązania. Zamknięto ją.

Rozprawie przewodniczy sędzia okręgowy dr. Hahn, oskarża prokurator dr. Stanek, bronią adwokaci dr. Goliat z Morawskiej Ostrawy oraz dr. Matous z Pragi.

Oskarżony siedzi przy osobnym stoliku przed sobą plik aktów i całą serię różnokolorowych ołówków... stale uśmiechnięty, skrupulatnie notuje zeznania szeregu ważnych i mniej ważnych świadków, raz na „czerwono”, to znów na „niebiesko” i pełen nadziei swego uniewinnienia dla zmiany notuje w kolorze „zielonym”, bo kolor ten, to nadzieja... Dr. Zajiczek ma dużo kolegów i zwolenników...

Sala wypełniona jest stale po brzegi, pełno ciekawych, zwłaszcza pań, lornety wycelowane jak karabiny maszynowe. Oskarżony przeważnie „sam się broni” od czasu do czasu popularny na ostrawskim terenie obrońca dr. Goliat zabiera głos w sprawie formalnej.

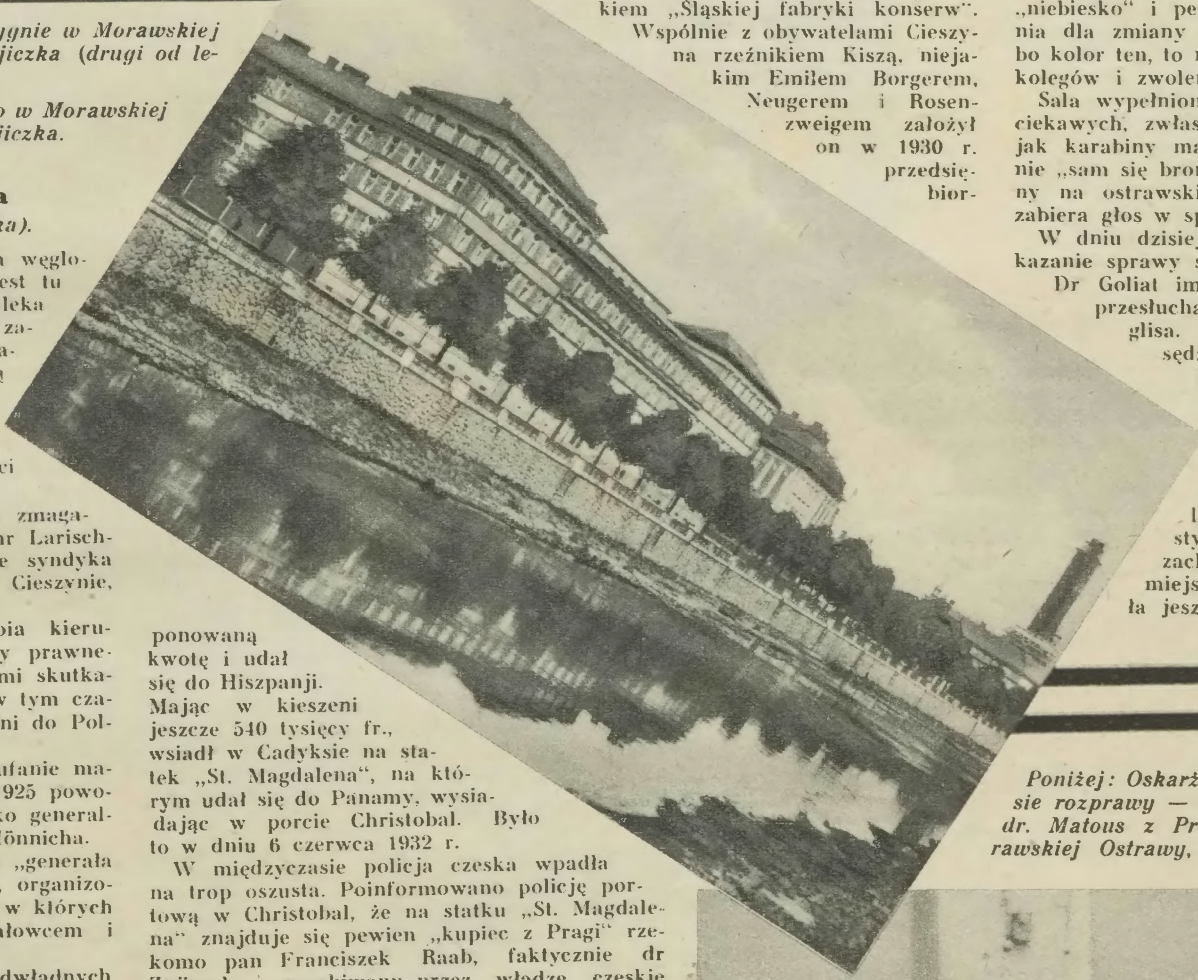
W dniu dzisiejszym obrona wniosła o przekazanie sprawy sądowi przysięgłych.

Dr. Goliat imieniem swego klienta zażądał przesłuchania b. ministra skarbu dr. Engliša. Wniosek obrony został przez sędziów odrzucony.

Rozprawa trwa... Wyrok jest spodziewany za dwa dni, o ile ministerstwo sprawiedliwości nie uwzględni wniosku obrony, domagającej się sądu przysięgłych...

Do wielu afer kryminalnych we stylu — które coraz częściej na zachodzie Europy zabierają wiele miejsca w dziennikach — przybyła jeszcze jedna.

H. Sopiński.



Poniżej: Oskarżony Karol Zajiczek (x) w czasie rozprawy — nad nim, od lewej: obrońcy dr. Matous z Pragi i dr. Emil Goliat z Morawskiej Ostrawy, oraz prokurator dr. Stanek



ponowaną kwotę i udał się do Hiszpanji. Mając w kieszeni jeszcze 540 tysięcy fr., wsiadł w Cadyksie na statek „St. Magdalena”, na którym udał się do Panamy, wysiadając w porcie Christobal. Było to w dniu 6 czerwca 1932 r.

W międzyczasie policja czeska wpadła na trop oszusta. Poinformowano policję portową w Christobal, że na statku „St. Magdalena” znajduje się pewien „kupiec z Pragi” rzekomo pan Franciszek Raab, faktycznie dr. Zajiczek, poszukiwany przez władze czeskie defraudant sumy 7 milionów Kc.

Zajiczek nie zlego nie przeczuwając, z uśmiechem na twarzy w porcie Christobal udał się na ląd.

W porcie przywitał go agent policyjny.

— Czego pan sobie życzy odemnie! — zawołał zdenerwowany „Raab”.

— Witam pana, panie Zajiczek, mój szef niezmiernie się ucieszy!

Tak więc Zajiczek zamiast odwiedzić miejsca rozrywkowe Panamy, zmuszony był bliżej zapoznać się z gmachem więziennym w St. Christobal...

Rozpoczęły się długotrwałe pertraktacje pomiędzy władzami czeskimi i amerykańskimi w sprawie wydania aresztowanego władzom czeskim.

Zajiczek postanowił urozmaicić sobie czas za kratami więzienia panamskiego pisaniem pamiętników ze swej podróży lądem i morzem „Od Karwiny do St. Christobal”. Oświadczenie Zajiczka, że niechętnie wraca do Czech, przyjęto, wierząc mu. Był to jedyny wypadek, gdzie władze policyjne dały wiarę twierdzeniom aresztowanego...

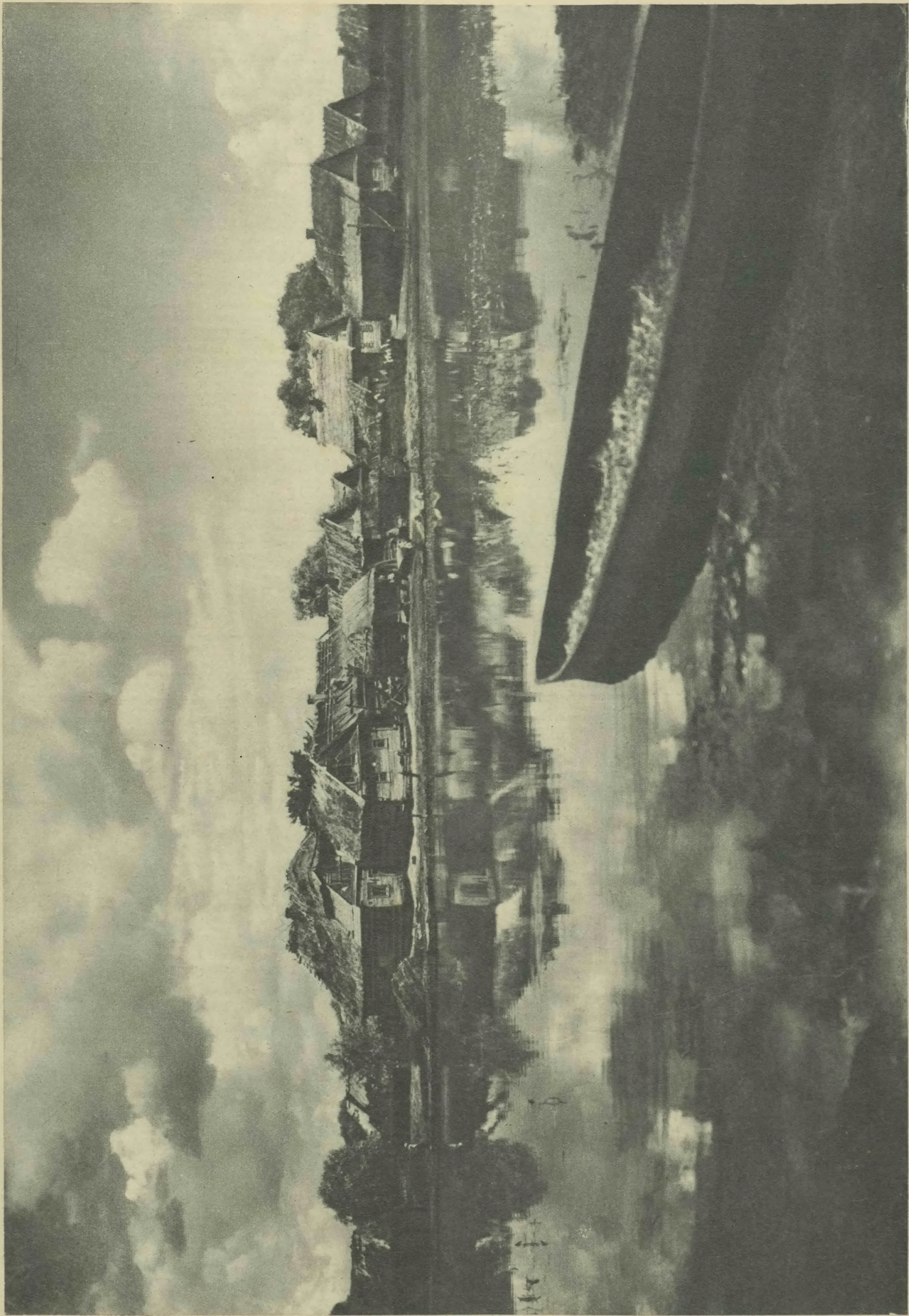
Jak ładna była podróż w stronę do Panamy, tak smutną okazała się droga powrotna. Jechał więc III klasą, w dodatku pod „opieką”.

W dniu 17 października tego samego roku, Zajiczek niemieckim statkiem „San Francisco” przybył do Hamburga, a w dwa dni później dojechał do Morawskiej Ostrawy, oczekiwany na dworcu kolejowym przez parutysięczną masę gapiów i silną eskortę policyjną. Od tego czasu Zajiczek przebywa w więzieniu sądowym.

Rozprawa.

Głośna swego czasu ta sprawa nareszcie znalazła swój epilog przed sądem okręgowym w Morawskiej Ostrawie. Lecz tu zaczęła się dopiero sensacja...

Zajiczek oświadcza, że on nie nie sprzeniewierzył, lecz założył „specjalne konto”, z którego podejmował kwoty dla przekupienia wyższych urzędników skarbowych w Pradze, u których interwenjował w sprawach podatkowych hr. Larisch-Mönnicha. To oświadczenie wywołało sensację... lecz nie mniejsza była sensacja, kiedy sam hrabia wycofał swoje zezna-



DJADEL DOLESNIEJ MNIEJ

Jeziorany, w styczniu.

Powóz toczył się zwolna, potężnie kołyszac na polskiej wyboistej drodze, skrzypiąc resorami i szelejąc kołniskiej przyczepą. Mijał mostki zdradliwie, cudem utrzymujące się całosci; żonglował na groblach sitowiem obrosłych; tonął w noc ciemną, która nieprzeniknionym kłosem mroku zawisała nad ziemią płaską dnami bagien znaczoną, lasami jak korzeniem gęstym, a zbitym porośłą.

Zdawało się niemożliwością, że zaledwie przed kilku godzinami, otaczający wieś lamp, wskazujące drogę, pocieję smutnych reklam neonowych.

Gdzieś zapadło to wszystko, zainicjowało bań barwista wschodnia, a teraz tu... oto na kilku ludzi; podjazd, puszcza dzika, nieprzenikniona, omalże dzwiczka puszcza poleśską...

Ale tak trzeba było, trzeba było tej przemiany dla nerwów starganych zabiciem miasta, trzeba było dla płuc wchłaniających atmosferę kawiarni, atmosfery bachicznego zapachu tych dzieł, a dla uszu znieczonych tętnem stolicy... ektich-gos światła gdużes w trawie zaginionych świerszczów.

Jadąc na wieś, cięła wieś poleśką nie wiedzieli, że powita minie ona dziełem romantycznym, jakie na pierwszy pie przeżyje, puszczając się do przodu z ciemnotą, którego okiem zamknął, a młotem białym, który jego wyskakiwał szepem z trawą i cięła jakąś mino-

Nie wiedzieli, że w chwili podróży przez grobelki zdradliwe, w te noc ciemną, domem mi będzie poznać Arsenia Miodarza, diabła kniej poleśkiej, wielkiego łowcę bobrów, z którym władza nie spotykała się nigdy, gajowi po spotkaniu z nim nie wracali do domu żywi, a których, po szarych wsiach na kępach osiadłych, legendy jak o jakimś Janosiku powiadano.

Wypadek zdarzył, że wysiadając na maleńkiej kresowej stacyjce, zapomniał nabyć piekzi zapalek. Ostatnia zapalka zapadła w czasie nieudanej próby zapalenia papierosa gdzieś na „ciemnym kilometrze od najbliższego osiedla, a na dobiegł złego ni furman, ni lokaj, na stacyję wysłani, nie posiadali przyrzadów wniczających ognio... jako nie-

— Pierwszego spotkanego człowieka na drodze zatrzymacie i zapytacie o ogień dla mnie — polecieć woźnicy, wiedząc, że tylko wybitnie dla mnie sprzyjający zbieg okoliczności mógł zrzucić spotkanie w tej puszczy dalekiej i w noc ciemną.

Powóz kołysał dalej, a świerszcze cykały usypiająco. Miały kwadransie ciężkiej podróży.

Wtem pojazd zatrzymał się, a woźnicy woliwać kogos...

— Hej! Ty... czelowiek! Ognia dla pa-

na majesz!...

Otrzeźwiałem na myśl o rychłem zapaleniu papierosa...

To Arsen Miodarz — panie!

Z ciemni słysząc było czapanie czyichś kroków i za chwilę do wolantu po-

desza jakiś ciemna sylwetka.

U góry: Typowy krajobraz poleński — Na prawo: Zastanek Miodarza na uroczysku Lubie, a brzegu Wielkiego Bajna Osochli na Polcie.

— A kto jedzie?

— Ty nie przyja! a jak ognia masz, to dawaj...

Ciemna postać poszła do kieszeni, widocznie dobyła kłosa, zaczął dmuchać w iskierki i suchy mech zaczął się tlić.

W meławym promieniu zobaczyłem twarz stariego chłopca, o białych wąsach i sepiach ryszach. Rozdmuchiwał hubę i podał ją do papierosa.

— Dziękuję... a może i sam zapali papierosa?

— Jak łaska pana...

Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

— Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

— Jak łaska pana...

Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

— Jak łaska pana...

Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

— Jak łaska pana...

Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

— Jak łaska pana...

Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

— Jak łaska pana...

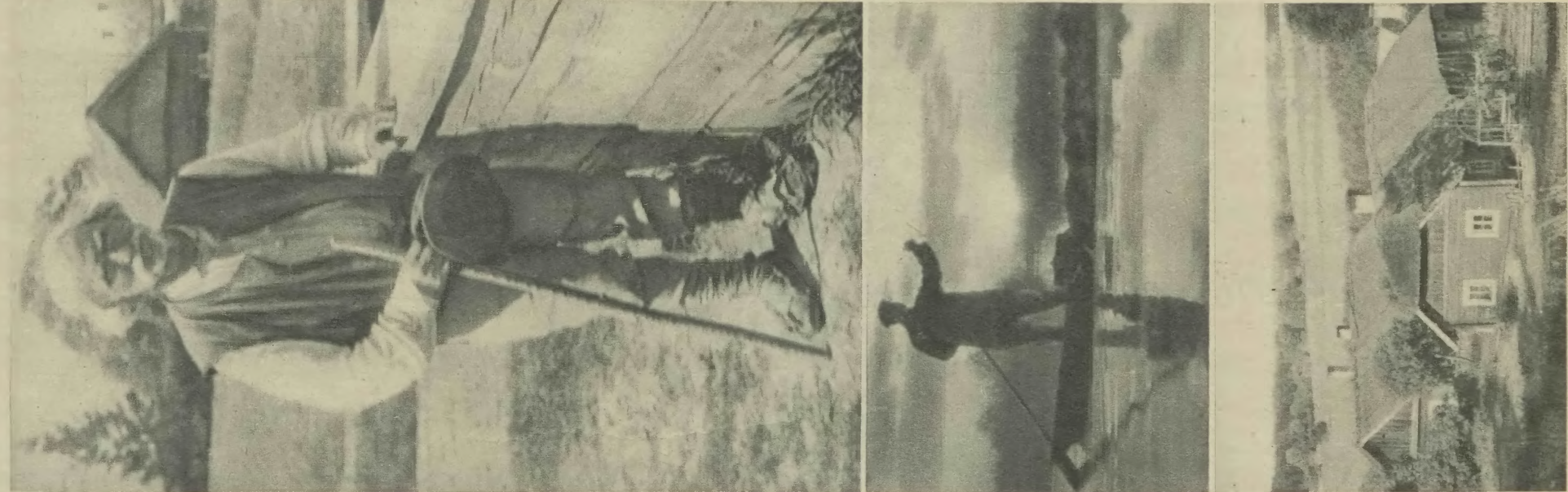
Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

— Jak łaska pana...

Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:

— Jak łaska pana...

Wziął z papierosnicy ostrożnie dwoma palcami papierosa, zapalił, zaciągnął się i zapytał:



mieszkający na uroczysku Łubne, w samotnej chałupce. Akta powiatowej policji rosyjskiej za czasów zaborów, policji były elektrycznymi adresem, o Arsenie. Z wojska zdezerterował, gdy młodym będąc w garnizonie był wzięty, pieszko z Orła do garnizonu przyszedł; tam za-

okoliczności. Władza rosyjska dowiedziawszy się o gwałtownym charakterze okolicznych Łubnych, wysłała kłosa, który uzbudził w karnym, by Miodarza aresztować i do spowitać.

wadził, ale strażnik jak w mój wyszedł, to i na listopada nie wrócił, a kował w Łastowicy podjął się za trzy ruble z strażniczego „berdana”. Miodarzowi dubel-tówkę sporządził.

Od tego czasu łowczowie, dobr księgał Radziwiłłow, ku swemu wielkiemu zdziwieniu konstatować zaczęli, że na Dol-gim Ostrowie, coraz to losi ubywać zaczęła, a żydkowie w Stolinie eksport losiego mięsa poważnie zwiększyli do t-zw. „gubernij centralnych”.

Nie dosę na tem. Organizowane wielkie polowanie na bobry zawiodło w zupełności, gdyż okazało się, że „ludzie” aligdyś żeremia bobrowe, wyrzabione zostały w ostępach dostępniejszych omalże zupełnie, a w głębokiej puszczy gdzie raj bobrowy, zamieszkiwał liczenie narodek futerkowy, gajowi odnajdując zaczęli siłdla bardzo przemysłnie na bobra zastawiane.

Wtedy wybuchła awantura. Wielki łowczy zwołał na odprawę całą służbę leśną, i pod groźbą i wysoką nagrodą nakazał, by kłusownika złapano.

„Sprawa złego ducha”.

Wielkim zuchem wśród leśnej służby książęcej był podlesny Zambrowski, chłopak młody i zdolny, odważny i w zawodzie swym rozkochany. Postanowił on na tajemniczego złego ducha polowań zapłować.

Pewnego dnia, połączawszy się z młodą żoną i ucałowawszy małą kłusownicę, która dopiero do gajówki jako nową lokator przybyła, wziął flintę, trochę naboi, kawałek suchego sera do torby i poszedł w las.

A lasy, wiadomo to jakie. Dniem nie przejdiesz, a dobrze je znajacemu i tygodnia będzie zamarło.

Minął i tydzień jednak, a Zambrowski nie wracał. Żona do dworu łowczego przybiegła i w lament:

— Złobę męża mnie w łecie zabili, tutajcie.

Łowczy zwołał służbę i tyraltjera poszła las przeszukiwać. Poszli i niedługo nawet szukali; o wrócił, jakies dziesięć i koło domu na debie wisi gajowy, głowa nisko spuszczone, pod drzewem torba i dubeltówka, a nad konarami drzewa tylko wrony kręczą.

Sam się powiesił, czy co? Nikt nie wie. Przyjechał sędzia, zjechały i doktorzy, kłusownik i nie nie znaleźli. Nikt nie mógł domyśleć się, dlaczego ten młody, wesół i szczęśliwy człowiek życia się w ten dziwny sposób pozbawił i nie dawano nawet warty temu, żeby sam tar-

tanując się na swoje życie, ale w pałacu i urzędowych zapisach „samobójstwo” na ten stał się skandal, nowy wybuch. Łosia kłosa zabili wielkiego roga-

buca. Łosia kłosa zabili wielkiego roga-

buca. Łosia kłosa zabili wielkiego roga-

buca. Łosia kłosa zabili wielkiego roga-

buca. Łosia kłosa zabili wielkiego roga-

buca. Łosia kłosa zabili wielkiego roga-

buca. Łosia kłosa zabili wielkiego roga-

buca. Łosia kłosa zabili wielkiego roga-

cza i gajowy Stepan Kozłow po śladzie kłusownika poszedł... Za dwa dni powieszono go na debie znalezione. Znow zaczęła władza, znow pokrajali i napisali „samobójca”. Napisał i poleciali, ale po wsiach okolicznych już rumor poszedł.

Złego ducha to sprawa i do lasu chodzie „obojetno”.

Ale gadki ludzkie nie cichły, deliberowano, domysłano się, iż niewiadomo jak i kiedy i przez kogo nazwisko Miodarza coraz częściej wymieniać zaczęli.

to że sam jak pustelnik żyje i żyje niewiadomo z czego, że „ochotnik” wielki i że nieczyste jakies tam sprawy już miały.

Doszły wieści do policji i dnia którego ekspedycja żandarmów z poleceniami na czele, mały domek na brzegu bagna otoczyła. Miodarza nie zastano w domu, a rewizja po wyrznięciu drzwi chały nie dała rezultatów. W tym samym czasie, gdy cała władza bezpieczeństwa osyjskiego dokonała rewizji w cha-

cie Miodarza na łubnem, ktoś włamał się do dworu na Polcie, zabrali wszystkie naboje z szafy dziedzica i co było gotowego groza, tak to, czemś wartem poczesował, że ten nie mógł się stawiać przytomności, umarł. Podobnie było w Stolinie i Dawid Gródku, podobnie w u żydów kilkanaście skór bobrowych, których pochodzenia kupcy wytłumaczyli nie mogli.

Miodarz, Miodarz — tylko on. W Olmanach go aresztowano kiedyś, gdy po sól do kramu przypłynął na szu-

— Ty zabił gajowych? — pytała.

— Ale ty dwór upadł?

— A dowody macie?

— Chytry ty, ale posiedzieć... Posiedział tydzień w areszcie i dla bra-

ku dowodów był zwolniony.

Miodarzowe „pogaduszki”.

Legendarnym stał się postać sobie rosyjska dala mu spokój, o pracy policji rą dbając, a i dwory zaprzęstały ściągając „diabla kniej”, uznawszy wszelkie posęgi za bezcelowe.

Ale oto ni stad ni zowąd po wsiach i wiezorynkach zaczęło opowiadać sobie Miodarzowe „pogaduszki”, kłechy i legendy myślni, które rzadkim raz Miodarz opowiadać zaczął.

Bywało więc, że do lasu poszedłszy do chały kłusownika zabłądził, słowem Borym pozdrowisz, a on i machorka i wódka czasem poczęstuje, a jak i pod humor dobry, to i rozgadanie się potrafi. A różne basnie gadać umie, które sobie sam w głowie układa. To o królu bobrowym, co złotą koronę ma i którego on sam Miodarz oglądał, to o kramie w bagnach zatopionej, co to kościoły o złotych wieżach ma i których dzwony w letnie noce na świat z bagien wychodzą, to o diable, co to w wierzbie się zakochał, to o duchach karetach z Mankowicz, co w złotych karetach po bagnach jeżdżą, swoje kłesstwo lustrując.

(Dokończenie na str. 13-aj).

Na lewo od góry: Arsen Miodarz, kłusownik i łowca bobrów. — Gdy księżyc wschodził na niebo, jechął Miodarz na „szuchale” stając siłdla bobrowe...

Na lewo od góry: Arsen Miodarz, kłusownik i łowca bobrów. — Gdy księżyc wschodził na niebo, jechął Miodarz na „szuchale” stając siłdla bobrowe...

Na lewo od góry: Arsen Miodarz, kłusownik i łowca bobrów. — Gdy księżyc wschodził na niebo, jechął Miodarz na „szuchale” stając siłdla bobrowe...

Na lewo od góry: Arsen Miodarz, kłusownik i łowca bobrów. — Gdy księżyc wschodził na niebo, jechął Miodarz na „szuchale” stając siłdla bobrowe...

Na lewo od góry: Arsen Miodarz, kłusownik i łowca bobrów. — Gdy księżyc wschodził na niebo, jechął Miodarz na „szuchale” stając siłdla bobrowe...

WALKA Z BANDA ROGOZIŃSKIEGO.

Poznań, (od naszego korespondenta).

Połna, piaszczysta droga prowadzi z Murowanej Gośliny do Rakowni. Nie jest to droga jedyna. Właściwa jest szeroka szosa, ale ta prowadzi do wsi z drugiego krańca. Ponieważ zainteresowanie nasze skupia się na domostwie odległym od wsi, na t. zw. „hubie” jak zwykli określać mieszkańcy tamtejsi zabudowania, położone za wsią, wybieramy drogę krótszą, aczkolwiek mniej wygodną. Okolica jest śliczna. Dokoła pagórki i lasy. W jednej z licznych dolin ukryte między dwoma wzniesieniami znajduje się domostwo Bednarskiego.

Tam się zatrzymujemy.

Niska chałupa raczej, aniżeli dom, otoczona małym ogródkiem, oborą i stodołą — oto miejsce, w którym w marcu 1932 roku nieznani sprawcy dokonali napadu rabunkowego; ofiarą zabójstwa padł ówczesny właściciel zagrody Józef Chrzanowski.

Obecnie zagroda przeszła w ręce zięcia Bednarskiego, który pełen zapału zamierza gospodarstwo odziedziczone, obszaru 90 morgów, podnieść z upadku. Sam opowiada nam, że teść jego 68-letni starzec gospodarstwo do ostatniej chwili prowadził tak, jak jego ojciec. Bez niezyj pomocy, bez jakiegokolwiek maszyny. To się obecnie skończy.

Pytamy się o ową pamiętną noc, w której życie postradał teść, na co nam Bednarski oświadcza, że sam nie znajdował się wówczas jeszcze na gospodarstwie, ale zna tę noc dokładnie, bo żona mu kilkakrotnie o niej opowiadała.

Żona i teściowa nie ukazały nam się wcale. Są to kobiety wylekłe i żyjące w odosobnieniu.

Walka i śmierć Chrzanowskiego.

Oto w nocy z 24 na 25 marca 1932 r. do pogrążonej w uspieniu chatki, oknem z ogrodu, weszło dwóch zamaskowanych bandytów. Dostali się zrazu do komory służącej za magazyn. Obok w izbie spał teść Józef Chrzanowski wraz z 28-letnią córką. Szmer w sąsiedniej komorze usłyszała córka, która pociągnawszy za pościel przebudziła śpiącego na sąsiednim łóżku ojca, szepcząc: „złodzieje w komorze”. Staruszek nie zrozumiał słów córki i w przekonaniu, że mówi ona o oborze, szarpnął drzwi od komory, chcąc dobyć ukrytej tam fuzji. W tej chwili padła na niego smuga latarki elektrycznej. Równocześnie jeden z bandytów rzucił się na Chrzanowskiego, wciągając go do izby. Przerażona napadem córka zerwała się z łóżka i zanim ją drugi bandyta spostrzegł, wybiegła na dziedziniec, skąd przez pola, jedynie w koszuli nocnej, biegła co tchu do wsi, krzycząc o ratunek. Zgiełk w izbie przebudził śpiącą w sąsiednim pokoju Chrzanowską, która podążyła śladem córki. Za uciekającymi padło kilka strzałów. Wszystkie chybiły. W międzyczasie Chrzanowski, który mimo podeszłego wieku był chłopem silnym, wyrwał się z objęć bandyty zamierzając uciec. Padły dwa strzały, z których pierwszy utkwil w ścianie, drugi zranił go w okolicę serca. Rana, aczkolwiek groźna, nie zwaliła go z nóg. Wybiegł na dziedziniec i udał się do stajni po widły. Przy drzwiach stajni zaczął słabnąć, oparł się więc o drzwi, odpoczywając chwilę. Następnie ruszył uzbrojony w widły w stronę domu, chcąc ratować swą własność, lecz w drodze, pod oborą, padł i skonał.

Bandyci, widząc niepowodzenie swej wyprawy (w każdej chwili przecież mogli przybyć zaalarmowani mieszkańcy wsi), zrabowali co było pod ręką: płaszcz, kawałek słoniny i 78 gr. i uciekli.

Nastąpiły zwykle formalności wstępne, poczem rozpoczęło się śledztwo.

Przeszło rok minął i nie można było wpaść na ślad sprawców. Zgineli bez śladu. Zdawałoby się, że już sprawa dojrzała do zamknięcia akt z napisem „niewykryte”. Atoli na trop



Rakownia pod Murowaną Gośliną, miejsce zamordowania gospodarza Chrzanowskiego (w grupie ludzi pierwszy od lewej: zięć zamordowanego Bednarski, w rozmowie z korespondentem „Tajnego Detektywa”)



zbrodniarzy naprowadził władze śledcze przypadek.

Wojna bab.

W Kościanie, schłudnym mieście powiatowym w Wielkopolsce, zamieszkiwał od dłuższego czasu Franciszek Rogoziński, człowiek żonaty i ojciec 3 dzieci. Rogoziński w Kościanie znany był jako człowiek, z którym niebezpiecznie wdawać się w swary. Lepiej jednak znany był w Poznaniu: policja uznała go za zawodowego przestępcę, a świat podziemny widział w nim dobrego kompana, noszącego przezwisko „Rogol”. W Poznaniu miał „Rogol” kochankę, którą od czasu do czasu zabierał nawet do swego domu w Kościanie. Wizyty kochanki w mieszkaniu nie były widziane chętnym okiem przez żonę, kobietę pracowitą i uczciwą. Na widok kochanki zdradzana żona wrzała gniewem, który raz wreszcie musiał znaleźć swój upust. I znalazł. Kochanka długo pamiętała razy, któremi dzieliła ją na dworec w Kościanie żona wraz z sąsiadką. Zbita kochanka tego samego dnia po-

Trzecim był kamieniarz Antoni Ściernicki, do ostatka właściciel przedsiębiorstwa budowy nagrobków w Zabikowie. Co za ironja! Za dnia stawał zmarłym nagrobki, a w nocy bandyta ten operował rewolwerem, nie licząc się z życiem ludzkim. Czwarty — to 17-letni Antoni Piechowiak, mieszkaniec Kokorzyna pod Kościanem, pupił szajki i uczeń herszta Rogozińskiego.

Następny Feliks Nogaj. Odszukanie tego ostatniego sprawiło władzom nieco kłopotu. Nogaj używał czterech nazwisk. Nieślubny syn Nogajówny z pod Murowanej Gośliny, wychowany przez swego ojca Zbierskiego, nazywany był w młodości przez towarzyszy zabaw Zbierskim. Później przyjął go do siebie wuj Wawrzyniak i od niego przejął Nogaj nazwisko. Wreszcie ostatnio nazywany był przez towarzyszy i kolegów „Ślązakiem”. Ustalenie nazwiska było nieco skomplikowane tembardziej, że swego właściciela Nogaj nie używał prawie wcale, a w Murowanej Goślinie

Na lewo od góry: Herszt bandy Franciszek Rogoziński i szofer Adam Kościelniak. — Na lewo: Tartak Jende i Pędzińskiego, gdzie pod płotem mordercy pozostawili samochód.

skarżyła się Rogozińskiemu, który z kolei w ten sam sposób postąpił z żoną. W rezultacie obie kobiety przeleżały kilka dni w łóżku, lecząc obolale kości.

Wypadek publicznej zemsty na dworcu nie mógł się oczywiście ukryć przez ezujnym okiem władzy. Rogozińskiego poczęto badać, zainteresowano się bardziej jego osobą. Przesłuchano i wypytywano kilka osób, które m. in. w formie plotek opowiedziały, że podobno w marcu 1932 Rogoziński zamordował w pow. obornickim człowieka. Ponieważ w marcu 1932 zamordowany został w tej okolicy jedynie Chrzanowski, a więc Rogoziński mógł być sprawcą tego mordu.

Poszlaki i plotki to jeszcze nie dowód.

Akta dochodzeń przekazano do Prokuratury Sądu Okręgowego w Poznaniu, gdzie otrzymał je młody, energiczny prokurator Pasikowski. Razem z równie pracowitym sędzią śledczym Chrzanowskim zabrali się oni do śledztwa.

Jakimi torami i ścieżkami one szły, pozostanie narazie tajemnicą śledztwa.

Gniazdo zbrodni.

Efekt był nadzwyczajny. Mało — rewelacyjny. Oto okazało się, że od 2 lat istniała na terenie Wielkopolski świetnie zorganizowana szajka bandytów, w dosłownym tego słowa znaczeniu, która uzbrojona w rewolwery i posiadająca anto, niepokoiła mieszkańców na wszystkich krańcach województwa.

Najbliższym towarzyszem Rogozińskiego był drugi mieszkaniec Kościana, właściciel taksówki, Adam Kościelniak. Samochód jego, koloru wiśniowego, miał postój przy hotelu „Victoria” w Kościanie.

znali go wszyscy pod nazwiskiem Zbierskiego.

Wreszcie ostatnim (szóstym) był Antoni Grzesiński, szofer z zawodu. Ten, chociaż znany i wiadomo, że w zupełności jest udowodniona, nie dał się schwycić. Czując, że policja znajduje się już na tropie szajki, dał drapakę i ukrył się. Dotąd nie udało się władzom ująć zbiega. Rozesłano za nim listy gończe.

Ścigamy Grzesińskiego.

Spełniamy nasz obowiązek dziennikarski. Nie zajmujemy się wyłącznie piętnowaniem zbrodni, ale, o ile to w naszej mocy, staramy się władzom tropienie sprawców ułatwić. Z tego powodu apelujemy do czytelników, by natknawszy się na Grzesińskiego, donieśli o tem najbliższemu posterunkowi policyjnemu lub nawet sami go zatrzymali. Zaznaczamy, że jest to obowiązkiem każdego obywatela. Prawo domaga się tego stanowczo i każdego, któryby schronienia przestępcy udzielił, karze z całą surowością. W celu ułatwienia czytelnikom rozpoznania bandyty, zamieszczamy jego fotografię oraz rysopis: szatyn, wzrostu 1.70 m., nosi, wzgl. nosił mały czarny was, czapka sportowa, kurtka szoferska, czarne trzewiki sznurowane i czarne nasadzone cholewki.

Akta szajki nabrzmiały do rozmiarów potężnych.

(Ciąg dalszy na str. 13-ej).



W kole: Antoni Grzesiński.

detektyw uczynił to ze skwapliwością i opowiedział pokrótce tarapaty, jakie wywołała jej zniknięcie.

— Teraz na panią kolej! — dokończył skromnie i zamienił się nieoczekiwanie w słuch.

Sila, aczkolwiek ciężko jej przychodziło opowiadać o swoich przeżyciach, postawiła się jednak ku zdumieniu detektywa na głowie i zaczęła snuć swą opowieść:

— Wie pan, czasem mi się zdaje, że życie moje jest jakąś powieścią „sensacyjną”, lub „egzotyczno-erotyczno-fantastyczno-sensacyjno-humorystyczno-filmową”. Jakaś straszna nocą, jakimś byczym koszmarem. Czasem wydaje mi się, że jestem czarną panią w masce, władczyńnią czarcięgo jaru, która jak bestja budzi się w podziemiach wyspy nieznanej i widząc wokół siebie czarny ląd, idzie się utopić z rozpacz w Mississippi. Ach! Gdyby nie pan, kto wie, czy nie stoczyłabym się szlakiem hańby w odmętach białej trucizny! Pan mnie jednak wyciągnie stąd jak pieczeń z antylopy ze świata w płomieniach!?

— Oczywiście! Oczywiście! Myśl ta już mi dawno wlaźła za skórę! — rzekł szybko i na dowód prawdziwości swych słów podrapał się w plecy. Ale niech pani opowiada dalej! Wszak jeśli pani życie jest jak powieść, to musi pani jako bohaterka opowiedzieć w całości swoją przygodę. — W jaki bowiem sposób powieść „sensacyjno-humorystyczno-egzotyczna” mogłaby się obejść bez opowiadania bohaterki? — zapytał detektyw z humorem, jaki go nie opuszczał w najkrytyczniejszych chwilach.

— Dobrze! Opowiem panu moją historię i dufam, że dzięki panu wnet skończą się moje perypetie!

Nie przeczuwała biedna ofiara, że tajemne pal-

przeskoczył barjerkę i, wsadziwszy sobie z fantazją nogi za pas, rzucił się wdół wprost w kotłującą na dole czerń. Tymczasem na górze zauważono zniknięcie niepowołanego czynnika i przedsięwzięcie środka miarodajne. Tak, że detektyw, przelatując obok okien 20-go piętra, posłyszał nagle nad sobą terkot karabinu maszynowego.

— Możecie sobie pukać! I tak was nakryją zaraz! — warknął srogo. — Pies, co dużo szczeka, mało mleka daje! — dodał z humorem, nie opuszczając go w najkrytyczniejszych chwilach.

VIII.

José Dintoja, mały, chudy człowieczek o dziwnie białym obliczu i wypieszczonych rękach — drgnął niesamowicie na odgłos kroków i rzucił się za chiński parawanik. W tej chwili do pokoju wdarł się z hukiem Rodryg Pomalu, czy raczej George O'Sandach i stanął jak wryty:

— Panie szefie! Panie szefie, jest pan tu? — zaczął nieswojo.

— Jestem, jestem, a co się stało? — zapytał José, wychodząc groźnie z poza parawanika.

— Szpicel dostał się do naszych lokali i uciekł spadochronem. Najpóźniej za dwie godziny nakryje nas policja!

— Co? Co ty mówisz? — zapiał nagle dziwnie wysokim tonem szef i osunął się jak zraniona antylopa w objęcia kanapy.

O'Sandach zgubił na chwilę wątek myśli, lecz prawie natychmiast znalazł go i oblał szefa wodą, podsuwając mu pod nos sole cuchnące. Rozpiął natychmiast zemdlonemu marynarkę, kamizelkę, koszulę i... zatoczył się jak pijany wstecz.

— Rosa Mentona! Szef jest Rosa!

Tymczasem zemdlony a raczej zemdlona, widząc, że jest zdemaskowana, dzwignęła się ciężko z kanapy i wypadła z roli.

— A więc wiesz! Tak! Ja bylam przebrana za

Josiego Dintoja, waszego szefa i tylko dla kontroli jeździłam z wami w swej prawdziwej postaci — jako tancerka Mentona. Wszelkie jednak dygresje odłożymy na później. Lepiej uciekajmy czempredzej z naszym niewolniczym inwentarzem. Czy samoloty są gotowe do drogi?

— Zawsze są gotowe szefie!

— To spakować tam pensjonariuszki... i jazda... gdyż policja nam depece... już po nagniotkach!... — wołała Rosa, wydając jednocześnie między jednym a drugim słowem odpowiednie rozkazy do telefonu.

Natychmiast jedni funkcjonariusze przybytku zaczęli palić kompromitujące papiery, inni krzątać się koło alkoholów i narkotyków, słowem wszczął się ruch na czem świat stoi. Zawarzały silniki potężnych hangarów, schowanych w dużych demi-mondach na dachu drapacza. Wszystko było zawczasu przygotowane na alarm. Skośnolnicy himalaje i smagli hindukusze, strażnicy niewolnic, zaczęli krzątać się jak Marki po piekle i wywodzić pensjonariuszki z ich kabin. Niewolnice były widocznie zazwyczaj dość rozgarnięte dziewczyny, gdyż nie stawiały zupełnie oporu. Tylko Siła wyciągnęła ramiona wdal i szepnęła „Ratunku!”, rzucając nieznacznie jakiś świstek na ulicę.

Tymczasem detektyw Sznapski, z nadmiaru uciechy kopiąc z wzajemnością swego towarzysza Bożydara w dołek, śpieszył na czele policji w stronę fatalnego drapacza. Zbliżywszy się doń na odległość strzału rewolwerowego zauważyli groźną sytuację. Z dachu unosiło się w powietrze kilka ogromnych samolotów.

— Ha! Przepadło! Nie uwolniliśmy biednych istot! A mówilem, by zabrać samoloty! — zawył od ucha do ucha detektyw, podnosząc jednocześnie, jakby przeczuciem wiedziony świstek papieru, leżący na trotuarze.

(Dokończenie nastąpi).

NARZECZONA Z MAKAGIGI.

PARODJA POWIEŚCI A. MARCZYŃSKIEGO.

NAPISAŁ PAN TEON.

ce przeznaczenia zapisały na jej głowę nowe nie-szczęścia.

Tak więc Siła pocałowała swego wybawcę wzrokiem i wciągnęła go raptem w swoje prywatne sprawy...

— Trzeba panu wiedzieć — zaczęła ze swadą — że mieszkając bez wytechnienia w prowincjonalnym miasteczku Makagigi, nabrałam chęci do wielkiego świata i idąc za podmuchem wewnętrznym, ukończyłam korespondencyjny kursa detektywiczny w Warszawie. Odtąd byłam detektywką i śmiałam się z całego świata, za co obacz pan jak mnie nabito w butelkę, w której mnie aż tu przywieziono i jaka spotkała mnie wyspa nieznana. Nie wspominałam dotychczas, że ojciec wuja bratani-cy szwagra mej ciotki wyemigrował przed laty zagranicę. Otóż niedawno przysłał on wyłącznie dla mnie (albowiem mnie najwięcej kochał z całej rodziny) list z Jawy, w którym donosi, że zdo-był majątek, nazywa się teraz Korsarz z Borneo i prosi mnie, bym go odwiedziła na stare lata w jego ostatniej torpedzie w dziewiczej wiosce borneańskiej. Jako rezolutna dziewczyna, postanowiłam nie mówić nie rodzinie ani narzeczonemu, ale zaraz tam jechać i zrobić korsarzowi niespodziankę. Bagatelizowałam oczywiście w karygodny sposób niebezpieczeństwa podróży. Kiedy więc przy sposobności poznałam dwóch handlarzy żywym towarem — jak się domyśliłam wkrótce jako detektywka — zdecydowałam się natychmiast wyemigrować z nimi niby niewolnica do Argentyny, a stamtąd, ufając w swój spryt — zemknąć dalej na Borneo. Tak uciekałam z domu. W Warszawie, chcąc przedzej wyjechać z kraju, zademonstrowałam moich handlarzy — policji, która też widocznie dobrała się wnet zbrodniarzom do skóry, ponieważ pewnego dnia wpakowano mi pół litra morfiny do żył i wyekspedjowano jako obłąkaną przez Gdynię statkiem „Marquitania” do Francji. Ale co panu jest?

— Nic! Byłem wtedy w Gdyni i nie mogłem pani uwolnić! — rzekł płacząco Sznapski, pociągając nosem jak po maśle.

— To był dopiero pech! — przyznała. — Ciągnę jednak dalej za wątek! W czasie podróży poznałam jak bylam głupią. Próbowałam w Paryżu uciec mym prześladowcom, dostałam się w szpony jakiegoś goryla, później mameluka, który chciał mnie zjeść na obiad, wreszcie znowu wpadłam w łapy mych handlarzy — Rosy Mentony i Rodryga Pomalu, którzy zawieźli mnie aż tutaj do Nowego Jorku, do tego lokalu, gdzie panuje straszny José Dintoja! Ratuj mnie, ach ratuj! Wykreć mnie stąd sianem! Zbawco!...

— Wybawię cię Siło! — uciał jak uciał detektyw i przycisnąwszy białą niewolnicę do piersi, wspólcując poklepał ją po plecach tak, jak się zazwyczaj klepie biedę.

Po udzieleniu pocieszenia narzeczonej z Makagigi, detektyw rznął do drzwi i pobiegł wdal jakimś korytarzem. Przebywszy jak strzała dwa kilometry, otworzył jakby za nos wiedziony małe drzwiczki i znalazł się nagle na dachu drapacza chmur. Poznał natychmiast, że był to ten sam drapacz, do którego wstąpił rano. A zatem wożono go przez parę godzin jedynie dla zmydlenia oczu. Przyskoczył ku żelaznej barjerce, otaczającej ze wszystkich stron płaski dach. Na rzeźbionych sztachetkach suszyło się parę jedwabnych spadochronów. Szybko nałożył na siebie dwa spadochrony.



Częstochowa. (od naszego koresp.)

Na pograniczu polsko-niemieckim, wzdłuż t. zw. pasa granicznego ciągną się długim szeregiem niezliczone drobne wioski, znaczące się na horyzoncie wzdłuż białej szosy nędznymi chałupami, rozsiadniętymi wśród piaszczystych bezpłodnych pól. W biedzie, nędzy i ciemności pędzą tu przemytnicy swój beznadziejny, pełen niebezpieczeństwa żywot. Oni to bowiem stanowią jedyny element, zaludniający pas pograniczny. Niema tu prawie człowieka, któryby nie zajmował się przemytem w mniej lub więcej ukryty sposób. Przemycają wszyscy — od dzieci nieraz i dziewcząt poczynając, a na starcach kończąc. Samo przenoszenie polskiego zboża do Niemiec nie jest przez Państwo polskie karane; za kontrabandą towarów niemieckich na polską stronę obfituje we wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, gdyż niedawno wobec niesłychanych szkód, stąd dla Skarbu Państwa płynących, straż graniczna otrzymała zezwolenie na używanie broni, jeśli przemytnik ucieka. Armia przemytnicza to tylko macki tego olbrzymiego polipa, t. zw. hurtowników, koncentrujących swe meliny w większych miastach w pobliżu pogranicza, jak Częstochowa, Katowice, Lubliniec. Do owych melin spieszą wynajęte „roboty” — nieszczęśliwi nędzarze, przedzierający się z narażeniem życia przez gąszcz lasów, poprzez ośnieżone pola, zdobywając się na najbardziej niesamowite pomysły wojenne. Aby tylko nie zostać dostrzeżonym przez straż graniczną. Zimą, kiedy pas pograniczny przedstawia jeden biały całun, szmuglerzy, owinięci w białe prześcieradła, suną jak duchy nocą wśród śniegu. Lalek ukrywają się za powyrywaniem z ziemi krzakami i w ten sposób, trzymając krzew przed sobą, posuwają się nieznacznie wśród zieleni, okrywającej pola. Szosami idą w specjalnych łopciach ze szmal, względnie w gumowych pantoflach; raz przemyt jest załadowany na furze, wiozącej do miasta weselnego orszak, to znów kryje się w skrzynce, służącej za podparcie nóg „kulawemu” woźnicy... ukryty w skórzanej eleganckiej walizce wędruje zarówno do brzozy w ręku strojnego pana, jak uplasowany za biustonoszem hożej, wiejskiej gosposi.

Nie masz tu towaru, któryby nie był przemycany — od tak modnych obecnie lam, koronek chantillowych i brokatów, poprzez wanilie i sacharynę, migdały i rodzynki, do brzytew, wykwinnych przyborów do mani-

Na prawo u góry: Narada przemytników nad mapą granicznego terenu. — Na prawo: Adam Radlak prowadzony po rozprawie do karetki więziennej.



NA POLACH WRZOSOWEJ...

cure i t. d. A że niebezpieczeństwo jest wielkie, bo nigdy nie wiadomo, kto i kiedy wróci z wyprawy, przeto ludzie ci chętnie narkotyzują się, czem popadnie — piją nie tylko tanią dla nich, bo własnymi rękoma szmuglowaną brendkę... — ich ulubionym narkotykiem są t. zw. krople anodynowe, czyli eter, zażywany przez mężczyzn wprost z kieliszka, a przez kobiety i dzieci na cukrze... Ciemnota panuje tu straszliwa, stare pokolenie, a nieraz i wojenne czytać ani pisać nie umie — tropieni przez straż graniczną, wyzyskiwani przez hurtowników gwoli wielkich prywatnych zarobków — przedstawiają raczej szkodliwą i wynędzniałą trzodę zwierząt, niżli normalnych ludzi.

Drogi, którymi wędruje zbrodnia...

Wśród takich to ludzi, w takim amoralnym środowisku wyrósł Adam Radlak. Życia uczyła go wieczna wędrowka szmuglerów, zasady moralności wpajały mu „dintojry” konkurujących ze sobą band, cały jego światopogląd zamykał się w trzech słowach — policja, strażnica i przemyt. Wielki strach walczył w jego duszy z pragnieniem zarobku, wyradzając jeden jedyny zmysł, zagłuszając wszystkie inne — zmysł zmylenia tropu. Przez młode lata Radlak pasał krowy w rodzinnej wiosce, Borze Zajacińskim; potem wyemigrował do Niemiec na roboty; jakiś czas pracował dorywczo w kopalniach węgla na Górnym Śląsku, podczas wojny służył w 8 pułku strzelców konnych w Chełmie, a wreszcie, znalazłszy się przypadkiem we Włocławku, ożenił się tam po to tylko, aby nędzę swoją zwielokrotnić. Siedem lat jego pozycja małżeńskiego to była jedna rozpaczliwa ucieczka przed głodem — wreszcie po dwukrotnym odsiedzeniu kary za drobne kradzieże Radlak uciekł z domu, pozostawiając żonę i dwoje dzieci na łasce losu. Uciekł, by powrócić do stron rodzinnych, gdzie walka o byt zdawała mu się łatwiejsza, bo tu istniała zawsze perspektywa przemytu. Wioska pozostała tym samym zapadłym, nędznym kątem. Przez czas nieobecności Radlaka na jej suchej glebie wyrósł tylko miejscowy „potentat”, zamożny handlarz nabiałem Ickowicz, posiadający jedynego syna, który marzył o tem, aby w przyszłości zostać bankierem, a narazie założył sobie potajemnie mały kantor wymiany pieniędzy, jako, że w tym kierunku przemytnicy mieli duże zapotrzebowanie; ze strony bowiem niemieckiej przynosili ze sobą marki, otrzymane za zboże i nabiał. Hercyk Ickowicz nie zarabiał na tem wiele, ale należał do tych, którzy umiają ciskać groźbę do groza i dlatego skromny jego kapitałik rósł powoli, — ale skutecznie. Radlak, któremu imponowały pieniądze, jako rzecz dla niego niedochoybca, w szybkim czasie nabral szacunku dla Hercyka i zaczął mu narzucać się ze swoją sympatią, co znów pochlebiało młodemu, bo zaledwie 22 lata liczącemu Hercykowi. Wkrótce między bogaczem

wioskowym a ostatnim z nędzarzy zawiązała się wielka przyjaźń... Nie przeszkadzało to, że Radlak dalej borykał się z biedą, zadłużał u kolegów po fachu, a zresztą, gdy otrzymał pieniądze z przemytu, to wówczas chętnie je puszczał na wesołych hulankach. Powoli suma jego należności urosła do 100 zł., co w pojęciu biedaka było ogromnym kapitałem — wspólnicy upominali się gwałtownie o pieniądze. Radlak z dnia na dzień odkładał ostateczny termin uiszczenia rachunków, życie stawało się coraz trudniejsze, a znikąd nie światała chociażby drobna iskierka nadziei lepszego jutra... Nadmiar Radlak zdarł do cna bieliznę i ubranie; nadchodziła zima, a on nie miał cieplejszego odzienia, któreby mu umożliwiło wyprawy przemytnicze. W tym umyśle nędzarza, przyglądającego się co dnia, jak Ickowicz przelicza z dziecinna radością swe pęczniejące co jakiś czas banknoty, budzić się zaczęła ciemna zrazu i lekka, a potem coraz wyraźniejsza myśl.

Morderstwo rabunkowe.

W dniu 20 grudnia o g. 7-ej wieczorem do domku Ickowicza przybiegł, zdyszany chłopak wiejski, mówiąc, że Radlak, który przed chwilą popijał wódkę oraz anodynę u sąsiadów, wzywa Ickowicza do wymiany pieniędzy. Hercyk zabrał około 300 zł. gotówkę i wyszedł z domu, aby żywym już nie powrócić. Radlak oznajmił mu, że muszą iść do sąsiedniej wioski — Wrzosy, gdzie czeka na nich przemytnik z pieniędzmi. Na przełaj przez pola prowadził przed sobą przyszły zbrodniarz swą ofiarę, aby nagle zadać jej potężny cios sękatym przemytniczym kijem w głowę, poczem, gdy Ickowicz padł na ziemię już nawpół przytomny, Radlak wbił mu trzykrotnie nóż w serce i zabrał się do rewizji kieszeni swego przyjaciela. Wyciągnąwszy pieniądze, rzucił się panicznie do ucieczki, lecz po kilkunastu krokach, spojrzawszy na trzymane w garści pieniądze, skonstatował, że jest ich za mało i nawrócił... Kiedy jednak spojrzał na leżące i posypane przez siebie śniegiem ciało, zdjął go straszliwy lęk; włosy stanęły mu na głowie i zabójca, potykając się o nierówny grunt, umknął do wioski. Tu ochłoniął nieco, poprawił na sobie ubranie i wiedziony samozachowawczym instynktem, udał się na kursa do kształcącej do szkoły, gdzie przesiedział godzinę. Zaraz po wyjściu ze szkoły zaczął oddawać dług, stał się odrazu skrupulatnie uczciwym, a w procencie chciał urządzić libację z muzyką swym kolegom; ale grajkowie szykowali się zbyt długo i Radlak, zdenerwowany i nie-swoj, poszedł do domu. Próżno w późną noc rodzice

Ickowicza przybiegli z zapytaniem, gdzie się podział ich syn — Radlak przez drzwi odpowiedział, że nie o tem nie wie. Wczesnym rankiem udał się do Krzepic na targ, gdzie zakupił sobie małą nędzną odzież — po dwie sztuki ordynarnej, taniej bielizny; wymarzony kożuszek, spinki — szczyt wioskowej elegancji i grzebień. Już na targu słyszał zbrodniarz, iż posadzają o zabójstwo niejakiego Radlaka. Zdeterminowany powrócił do domu, oddając po drodze część rzeczy swemu kuzynowi na przechowanie. U progu chaty wpadł w ramiona policji, która przeprowadziła już rewizję, znajdując w ukryciu narzędzie mordu — nóż. Narazie Radlak kategorycznie wyparł się krwawego czynu, ale przytłoczony dowodami — wyznał wszystko.

Podczas śledztwa prokurator Hausbrandt postawił wniosek o zbadanie poczytalności oskarżonego. Odesłano go więc do Krakowa na dłuższą obserwację sławnych psychiatrów — dr. Wachholza i Janowskiego. Z badań tych wynikało, że według pojęć Radlaka Polska rządzi Marszałek Piłsudski, a Prezydent Mościcki jest generałem. Tradycję Bożego Narodzenia umiał wytłumaczyć mniej więcej, a co do świąt Wielkiejnocy gubił się w domysłach. Rachował tylko do tysiąca... nie dziwnego, bo i ta suma była dlań zawrotną.

Eksperti uznali go za ograniczonego, ale świadomego swych czynów.

Sąd doraźny w Częstochowie.

Piękny słoneczny dzień 26 stycznia zgromadził przed gmachem Sądu Okręgowego w Częstochowie olbrzymie tłumy ciekawych. Mała sala nie mogłaby pomieścić wszystkich — to też gromadzono się w szerokich Alejach, komentując przez dwa dni przebieg sprawy i ferując zawczasu wyrok. A tymczasem w małej, dusznej salce zasiadł na ławie oskarżonych mały, skulony osobnik o zastraszonem, bezmyślnem i tępem spojrzeniu. Jak urzeczony wpatrywał się w poważne twarze sędziów, w energiczne rysy swego obrońcy z urzędu, mec. Pacior-kowskiego i w prokuratora, który dla Radlaka uosabiał opinię publiczną, zwróconą swym surowym wyrzutem przeciw niemu. Tragicznej rozprawie przewodniczył wy-trawny sędziowski wiceprezes Sądu Okręgowego — sędzia Keller, wotowali — sędziowie Herasimowicz i Chrapo-wicki, oskarżał prokurator Hausbrandt. W pobliżu przysłuchiwał się rozprawie prokurator z Piotrkowa — Pło-wecki. Przewodniczący, prezes Keller z wielką znajomością duszy ludzkiej ułatwiał świadkom odpowiednie pytania złożenie jaknajdokładniejszych zeznań. Atmosfera na sali poważna, nieledwie tragiczna. Oskarżony przez cały czas zachowuje się biernie i ledwie czasem błysk zainteresowania załśni w jego przegazonych żrenicach. Ze jednak w głębi tej nie-łożonej prawie zwierzęcej psychiki odbywa się jakaś wielka tragedia, świadczą naj-

Poniżej: Trybunał sądu doraźnego w Częstochowie w składzie: Prezes Keller i sędziowie Herasimowicz i Chrapowicki — przestuchuje świadków.



Poniżej w kole: Zwłoki Hercyka Ickowicza na polach wsi Wrzosy.

WSZYSTKIE
ZDJ. „TAJNY
DETEKTYW”.



lepiej włosy Radlaka — na drugi dzień rozpraw zjawia się już nie 30-l. szatyn, ale siwowłosy staruszek.

Drugi dzień rozprawy rozpoczyna się od silnej mowy prokuratora Hausbrandta. Oskarżyciel publiczny dowodzi, że Radlak popełnił zabójstwo rabunkowe z premedytacją, bez żadnych okoliczności łagodzących — na humanitaryzm niema tu miejsca, a następnie oświadcza: „Panowie Sędziowie. Sądzić macie nie tego Radlaka, który w tej chwili płacze przed wami dla wzbudzenia waszej litości, ale Radlaka, który tam w polu, nocą, skrycie i wiedziony najniższymi pobudkami mordował. Proszę o karę śmierci”. — Końcowe słowa prokuratora czynią silne wrażenie. Radlakiem wstrząsają spazmy. Z kolei zabiera głos jeden z najwybitniejszych adwokatów częstochowskich mec. Paciorkowski, rysując we wzruszający sposób nędzne życie tego analfabety-człowieka-ameby, o którego widnokrąg umysłowy i moralny nie dbał nikt. Ponadto powołuje się na dzieło sławnego uczonego krakowskiego, prof. Wachholza „Medycyna sądowa”. Obrońca, zarówno, jak oskarżony w swem ostatnim słowie proszą o łagodny wymiar kary. Sąd wychodzi na naradę. Upiływają powoli dwie długie i męczące godziny oczekiwania. Wreszcie dzwonek i o feralnej godzinie 13-tej wśród grobowej ciszy wkracza na podjście Sąd. Prezes Keller pewnym, ale wzruszonym głosem poczyną czytać wyrok. Trybunał wydał wyrok śmierci. Obrońca oznajmia, że zwróci się o łaskę do Pana Prezydenta Rzplitej.

Telefoniczna rozmowa z prokuratorem generalnym w Warszawie, Cybulskim. I znów długie, jak wieki, godziny.

O godz. 8-mej m. 15 wieczorem do celi Radlaka wchodzi prokurator. Pan Prezydent Rzpltej skorzystał z przysługującego mu prawa łaski i obdarzył skazanego na śmierć przez powieszenie zbrodniarza Radlaka — życiem, zamieniając karę śmierci na dożywotnie więzienie. Wielkiej idei przebaczenia stało się zadość. S. S.



Djabeł poleskiej kniei.

(Dokończenie ze str. 9-iej).

Długo tak gadać potrafi, sam gadki takie układając: ludzi niemi ciesząc.

Ale nie o wszystkim tak gadać lubi z narodem. Nie daj Boże mu o dawnych sprawach, co to były w lesie wspomnieć, o śmierci borowych i o tem, kto szkód robi... Zatnie się i gadać przestanie.

Z dworami będąc w wiecznej wojnie i zwierzyne z dworskich lasów „za Bożą” uważając, nie tolerował żadnego z członków rodzin okolicznego obywatelstwa, psocąc dworom i groząc niekiedy za pościg.

Raz postrzelony na klusownictwie przez pana B. zemdlił się, podpalając w nocy stodołę pełną zbiorów całorocznych. Ale brak dowodów, alibi i dziwna wszechobylskość raubszica i w tym wypadku uratowały go od więzienia.

W czasie inwazji bolszewickiej jednak dość dziwnie wobec mienia p. R. się zachował. Gdy rodzina ziemianina uciekla przed krwawą i niszczytelką pożogą dziczy wschodniej, Miodarz poszedł do dworu, wszystkie krowy zagnał do siebie w dalekie uroczyska i tam je pielegnował, karmił, a gdy horda pod naporem zwycięskich wojsk polskich z okolicy uciekla i gdy obywatelstwo do pieleszy domowych powróciło, Miodarz sam krowy z przychówkiem panu R. odprowadził.

Zdumiony tym postępkiem ziemianin zanvtuje: — Dlaczegoś ty Miodarz moje mienie ocalił? — Bcm nie chciał, by takie piękne krowy, chamy poniższyli... potem, podrapał się po głowie i powiedział:

— ...i dlatego, że mnie raz dziedziczka, kiedym był chory, lekarstwo z dworu dała.

Nagrody pieniężnej za opiekę nad bydlęm przyjął nie chciał i uścisnąwszy bez uniżoności rękę obywatela, wrócił do swej kniei, na uroczysko.

Po pierwszym spotkaniu w czasie nocnej podróży, spotkałem Miodarza na polowaniu.

Spotkawszy się ze mną w gąszczach kep znie-nacka, widząc mnie uzbrojonego, nie zawiesił swej krucicy pokojowo na pasku. Z uśmiechem chytre-go stwora leśnego obserwował każdy mój ruch, każdy gest. By nie dostać całego ładunku śrutu w głowę należało postępować mądrze i spokojnie. — Zawiesiłem dubeltówkę na flintpasie i poszedłem wprost na klusownika.

— Dzieńdobry Miodarz.

— Ślawa Bohu.

— No jak tam kaczki na moich łakach?

— A jest ich! Chcesz pan, to zapolujemy.

Poszedłem z klusownikiem na łów. Strzela daleko lepiej ode mnie. Zabił trzy kaczki i ofiarował je mnie.

— Weź panok — to wasze...

— Nie, weź ty Miodarz, to ty zabiłeś. A na drugi raz, chcąc na moim polować, przyjdź do mnie do dworu, zapolujemy razem.

I przychodził często i nigdy na naszych polach szkód w zwierzyne nie robił.

Czasami przy myśliwskim ognisku na kępie dalekiego w puszczy zagubionego uroczyska, Miodarz, w ogieńek się wpatrzywszy, gadać baśni swoje zaczyna.

Sępie jego oczy w dal jakąś zaświatową spoglądają, stara twarz wygląda się dziwnie...

— Raz panunciu djabeł, co w bagnie mieszka, w młynarce się zakochał...

I płynie baśń ta dziwna, opowiadana ustami tego poleskiego Sabaly — klusownika w mglistą dal poleskich ługów.

De dziś dnia Miodarz żyje i na dalekim uroczysku w chatuszce mieszka.

Już do dzieweczki na uroczysku nie chadza „tako mnie nie trzeba już panoczek”, ale flincie starej wiernym pozostał i chadza na łów.

Widzą jego sępie oczy każdy trop zwierza, świetnie wabić potrafi losie na Tolgim Ostrowie: jak wielu uchodzić potrafi z ukradzioną zdobyczą.

Dawne zbójckie swe, czy też jemu tylko przypisywane zbrodnie pamięta, ale i wspominać o nich nie lubi, jak zresztą i o służbie leśnej z pogardą się wyraża. A gdy czas łowów bobrowych nadechodzi, gdy tylko księżyc zejdzie, na starej szucholei płynie kosmata postać dziada w żeremja ciche, wśród komyszy uśpione.

Ostatni on może z wielkich zawodowców myśliwych na wielkich błotach Polesia, może to ostatni już Jancsik, zbójca marzyciel...

Może ostatni... bo ni Mitka Kuźmuk już takim nie był, ni Stasiiek Superson, zły duch Białowieży, heroje nowej generacji klusowniczej, nie dorównują jemu. F. Dangel.

Zosieńko! Nie poznajesz mnie? — Ach! To Ty Krzysiu? Na Boga! Tak wypiękniałaś, że wprost wierzyć się nie chce. — Czyś może wygrała dolarówkę, lub wysłałaż zamąż?

Kochanie! Zdradzę Ci tajemnicę — dowiedziałam się od Wandy, że najlepszym na świecie kremem do twarzy jest: Biologicznie — spręparowany krem „Anetta”. kup go sobie w składzie kosmetyków, a jeżeli nie będą go tam mieli, to wyslij: jeden złoty pięćdziesiąt groszy w znaczkach pocztowych do: Perfumerji „Anetta”, Łwów, Żybkiewicza 9, a odwrotnie go otrzymasz. 10

Walka z bandą Rogozińskiego.

(Dokończenie ze str. 10-iej).

Obecnie zarzuca się jej następujące przestępstwa: Wspomniane wyżej morderstwo Chrzanowskiego w Rakowni, napad na samochód kupca Witalisa Lechowskiego na szosie Jarocin—Jaraczew, napad w Zadorach i napad na zagrodę gosp. Krzyżostaniaka w Świńcu.

W napadzie na samochód kupca Lechowskiego niezwykle czynnym był Grzesiński. Pełniąc usługi szofera Lechowskiego wiedział, że jego chlebodawca czyniąc zakupy dla firmy, osobiście wyjeżdża do Łodzi, wioząc przy sobie pieniądze.

Kiedy więc w marcu 1932 r. Lechowski zamierzał wyjechać do Łodzi, Grzesiński o wyjeździe uprzedził Rogozińskiego i Kościelniaka, którzy wezwali resztę szajki i uplanowali napad. Grzesińskiego w szczegóły napadu wtajemniczono. W ślad za Lechowskim, jadącym z Jerki w towarzystwie kupca Bryleczaka z Poznania, jechała banda Rogozińskiego w samochodzie Kościelniaka. Jechano nocą, aby na rano stanąć w „polskim Manchesterze”. Samochód Rogozińskiego jechał za kucpami krok w krok.

Tak odbywała się podróż aż prawie pod Jarocin. Przed miastem dzieliła się szosa na 2 ramiona. Obydwoma drogami można było dojechać do Łodzi. Grzesiński wybrał drogę na Jarocin. Na to tylko czekali bandyci. Nie mogli Grzesińskiego wcześniej wyprzedzić, ponieważ nie byli pewni, jaką drogę wybierą kucpy. Wyprzedzili samochód Lechowskiego o kilka kilometrów. Zjechali w bok, pozostawili samochód, a sami stanęli na czatach.

Gdy na miejsce to nadjechał samochód kucpów, zauważyli oni na szosie człowieka, który dawał im znaki do zatrzymania. Poszkodowani, myśląc, że jest to spóźniony przechodzień, chcieli zatrzymać auto, na co tylko czekał Grzesiński. Poznawszy swego spółnika, nacisnął hamulec, zwalniając biegu. Lechowski, tknięty złem przeczuć, spojrział na chwilę przed zatrzymaniem wozu w rów, gdzie ku swemu przerażeniu zauważył dwóch zamaskowanych osobników z wycelowanymi rewolwerami. W największym przestraszu krzyknął „gazu”, a Grzesiński rad nie rad musiał rozkazu usłuchać.

Strzały, które posypały się za samochodem, przedziurawiły wó, nie raniąc jednak nikogo.

Natychmiast póz, przyjeździe do Jarocina zawiadomiono policję, która wysłała patrol. Natknęto się na samochód, w którym jechało tylko dwóch osobników. Zapytani, czy nie spotkali 2 bandytów, odpowiedzieli, że przed chwilą dwóch bardzo podejrzanym przejeżdżało szybko na rowerach. Policja ich nie odnalazła. Samochód, jaki spotkała patrol, był samochodem Kościelniaka, dlatego umyślnie wskazano złą drogę. Dwaj bandyci, których Lechowski zauważył, uciekli pieszo.

Rolnik Krzyżostaniak w Świńcu jest krewnym Grzesińskiego. Wyprawiał on w 1932 r. wesele synowi, któremu wypłacić miał w dzień ślubu wię-

kszą sumę pieniędzy. W noc poprzedzającą wesele, Grzesiński zawiózł do Świńca swą bandę. Sam pozostał w samochodzie, aby nie być poznany. Towarzysze obstawili dom, a dwóch z nich weszło do wnętrza. Przebudzili szmerem córce gospodarcza, które przekonane, że oczekiwany brat przyjechał, zapytały, co porabia. Bandyci zagrali rolę brata i uspokoiłi jego siostry, które mimo to niepewne, czy to istotnie brat, prosiły, aby sobie poszedł. W obawie przed przebudzeniem Krzyżostaniaka, bandyci zagrozili dzieciom, że jeżeli jeszcze raz odważą się odezwać, zostaną zastrzelone. Groźba skierowana do bezbronných dzieci zgubiła rabusiów. Krzyżostaniak przebudził się i spłoszył zbrodniarzy. Strzały ich aczkolwiek przebiły drzwi, minęły celu.

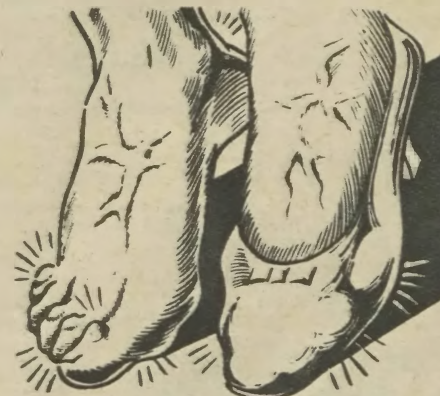
Z opisu tych zbrodni widać, że aczkolwiek szajka ta działała zdecydowanie, kul nikomu nie szedząc, to jednak na szczęście „prześladowała” ją niepowodzenie.

Szajka groźna i wielce niebezpieczna dla spokojnych obywateli została zlikwidowana. H. S.

Jaka ona niemądra!



że boi się włożyć pantofle, które ją uwierają. Nie cierpiałaby ani chwili dłużej, gdyby знаła ten nowy i łatwy sposób, co uczynić należy, aby nogi były mniejsze. Ciasne obuwie zatrzymuje cyrkulację krwi. Żyłę nabrzmiewają. Nogi stają się większe. Przy zaniedbaniu tego stanu, mogą powstać niebezpieczne żyłaki. By uczynić swe nogi mniejszymi, należy zanurzyć je w ciepłej wodzie, do której się dodało tyle Saltrat Rodell, by nadać jej białość. Spuchlina znika jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Ból u staję. Półce odciski znikają. Odmrożenia przestają świerzbic. Zapalenie i odparzenia są wyleczone, stwardnienia są zmiękzone do tego stopnia, że można je z łatwością odjąć. Te lecznicze sole przenikają do samych korzeni odcisków i podważają je. Można palcami usunąć je bez bólu. Kąpiel nożna z Saltrat przywraca normalny obieg krwi: wzmacnia osłabione kostki u nóg i uzdrawia najbardziej schorzone nogi. Można nosić obuwie o cały numer mniejsze, przebiegać pieszo duże przestrzenie i tańczyć godzinami z największą swobodą. Dziś jeszcze kup w aptece, składzie aptecznym lub perfumerji paczkę Saltrat Rodell.



DARMO. — Dzięki specjalnej organizacji, każdy czytelnik niniejszego pisma może obecnie otrzymać bezpłatnie paczkę Saltrat Rodell wraz z cenną ilustrowaną książką wybitnego specjalisty D-ra Catrin, opisującą sposób stosowania. Napiszcie dziś jeszcze. — Adres: L. Nasierowski, oddział 32 A Warszawa, Kaliska 9. Nie trzeba przysyłać pieniędzy.



Powagi lekarskie

zalecają pastylki Panflavin dla ochrony przed zapaleniem gardła, grypą, przeciwko chorobom z przeziębienia i przy zaleganiu dróg oddechowych. Środek ten niszczy w ustach i gardle zarazki chorobotwórcze, jest nieszkodliwy dla żołądka i miły w smaku.

Panflavin PASTYLKI



MORDERSTWO W POKOJU Nr. 700.

POWIEŚĆ KRYMINALNA
NAPISAŁ H. BRADLEY.

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
HELENY HELLERÓWNY.

15)

Przez chwilę zwątpił w siebie i we własne zdolności. Jeszcze nigdy nie pracował w charakterze detektywa, lecz zawsze prowadził dochodzenia na podstawie jasnych i dokładnie zebranych danych. Wywody i wnioski w jego mowach były zwykle śmiałe lecz niedoobalenia. Potrafił z mglistego zamętu, pozornie sprzecznych faktów, konstruować wnioski pewne i twarde jak stal. W tym jednak przypadku czuł się niemal bezsilny. Nie miał nic, czego mógłby się uchwycić, lub coby mu w jakikolwiek sposób wskazało jakiś możliwy kierunek.

Wiedział, że jego bystry umysł i wyćwiczony intelekt sprostą każdemu zagadnieniu. Lecz tutaj szło również o pośpiech.

I to był ten wyłom w jego zaufaniu do samego siebie, przez który wkradały się wątpliwości i męczące troski. Lękał się, by z braku doświadczenia nie popełnił jakiejś drobnej omyłki, która mogła mieć okropne skutki. Drżał na myśl, że wyłącznie z braku rutyny może przeoczyć jakiś ślad, mogący zwiastować ratunek i bezpieczeństwo.

Ratunek i bezpieczeństwo!

Nie dla niego ani dla jego kariery! Z lekkim świdrującym bólem przylapał się na tem, że znowu myślał o Wirginji Chaning.

V.

Darrow zamieszkiwał trzecie piętro starego gmachu, który mu się spodobał ze względu na obszerne pokoje i ogród od tyłu. Na prawo i lewo otaczały ten dostojny dom nowsze budynki z dużymi sklepami. W jednym z tych przyległych domów była herbaciarnia, a na drugim widniał złoty napis: „Ludwika”. Salon mód.

Nie było w tym domu dozorey, a kto wszedł do ciemnej i nieco stęchłej sieni, miał do wyboru kręte i wysokie schody i windę, której szyb umieszczono w kącie przedsiionka, jakby była dodatkowym pomysłem architektki.

Gdy Ryder zadzwonił do mieszkania Darrow'a, usłyszał jak za drzwiami spadły z hałasem na ziemię bućki. Następnie w drzwiach powoli się uchyłających, ukazała się zaspana i poeziwie tłusta twarz policjanta, w której tkwił papieros jak przypadkowa, barwna plama.

Twarz przypominająca księżyc w pełni ułożyła się w głębokie fałdy, które miały, jak się zdawało, tworzyć uśmiech.

— Witam pana szefa.

Dla sprytnego i dyplomatycznego Ryana wszyscy urzędnicy byli przelożonymi.

— Jak się macie, Ryan — powiedział Ryder, wchodząc do przedpokoju. — Czy zaszło coś nowego?

— Owszem! Przedewszystkiem jakaś damulka zrobiła mi piekło i chciała wejść. Mówiła, że jest aktorką, lecz nie powiedziała jak się nazywa. — Głędziła coś, że Darrow ma tu jej rolę, że musi ją dziś wieczór grać i chciała jej tu poszukać. Oczywiście nie wpuściłem jej i powiedziałem, że tylko pan może udzielić na to pozwolenia. Przychodzi teraz co pół godziny i pyta o pana.

— I co jeszcze?

— Dużo telefonów i jeszcze więcej kwiatów. Ale to wszystko załatwiał lokaj. A poza tem był niejaki pan Bartlett, który twierdził, że jest krewnym Darrow'a. Przyszedł dziś rano, lecz zamienił tylko parę słów z tą malowaną malpa, lokajem.

— Jak wyglądała ta kobieta? młoda? ładna?

— Owszem, proszę pana — wyszczerzył zęby Ryan. — Miałoby się coś za swe pieniądze.

Ryder znalazł mieszkanie aż nazbyt dobrze. Bez wahania przebiegł długim korytarzem do kuchni, gdzie zastał Derwish'a, który w zielonym fartuchu czyścił pilnie srebro. Był to dzień co tygodnia przeznaczony na czyszczenie srebra i Derwish, jako wzór służącego, trzymał się ściśle porządku domowego. Ryderowi wydawało się wprawdzie jakby poczciwy Derwish miał dość rozwinięte upodobania do dramatycznych sztuczek.

U Derwisha najbardziej charakterystyczny był długi nos i niemal znikająca broda w wąskiej twarzy o marionetkowo wypukłym czole.

Każdy jego ruch, dźwięk głosu i wyraz twarzy były nacechowane wyraźną powagą.

Ta uroczysta postawa nie licowała jednak z jego oczyma lasicy, które latały ciągle niespokojnie wokół.



Zerwał się pospiesznie na widok Rydera.

— Jak widzę nie zaniedbuje pan w niezem swej służby.

— Tak, sir. — Derwish nie dostrzegł lekkiej ironji Ryder'a. Ale co się z tem wszystkiem stanie? — pytał z wyrzutem. — Spodziewam się, sir, że nasze piękne srebro nie będzie do dyspozycji tego... tego drugiego pana?

„Drugi pan” był to architekt, który mieszkał u Darrow'a już prawie rok. Literat uległ jednemu ze swych impulsywnych upodobań i zaprosił do swego domu owego architekta, któremu się nieszczególnie powodziło. Derwish nigdy nie zadawał sobie trudu ukrywania swego zdania odnośnie do dziwnej sympatji swego pana.

— Nie — odparł Ryder. — Proszę narazie uważać na srebro, które pod pana opieką jest zupełnie pewne... Istnieje oczywiście testament — jestem nawet jego wykonawcą — ale narazie nie przystąpimy do jego otwarcia.

Przyszło mu przytem na myśl, że Darrow nie pomyślał wcale w swym testamencie o swym służącym, jakkolwiek niejednokrotnie wspominał Ryderowi, że wynagrodzi kiedyś jego przywiązanie. Widocznie zapomniiał o tem w gwałtownem podnieceniu... Ale to nie, napomknął o tem Wirginji Chaning, która napewno okaże się wspólnomyślną.

— A gdzie jest pan Renfrew? — zapytał.

Renfrew był to właśnie ów architekt.

— W swem biurze silnie przeziębiony — odparł Derwish nie bez zadowolenia. — Wczoraj rano wrócił niespodziewanie z Springfield i pozostał przez cały dzień w łóżku. Dziś rano przyniosłem mu wraz ze śniadaniem gazetę. Nie czytałem jej jeszcze, sir. I dopiero, gdy ten... ten pan zawołał mnie do pokoju, dowiedziałem się o tem okropnem nieszczęściu.

Ryder skłonił głowę z pewnem zmieszaniem. — Miał wrażenie, że lokaj patrzy nań bystrzymi oczkami z niemym wyrzutem. Chciał już powiedzieć: „Powiniennem być rzeczywiście sam do pana zadzwonić”, lecz zaniechał tego. Jakkolwiek przypuszczał, że może nikt ze znajomych Darrow'a nie ucierpi tak z powodu jego śmierci jak ten służący, brzydki karzelek, to jednak jakiś instynkt ostrzegł go przed jakąkolwiek sentymentalnością w stosunku do tego człowieka. Djabeł wiedział, jakie uczucia istotnie kryła nieprzenikniona maska lokajska.

— Czy pan Renfrew spędził cały wieczór w domu? — zapytał krótko.

— Tak, sir, w łóżku. Domagał się różnych możliwych rzeczy.

— Zatem jak z tego widzę i pan był cały wieczór w domu?

— Owszem, sir. Zamierzałem wprawdzie spędzić wieczór poza domem, lecz w południe przyszedł ten... drugi pan i pan Darrow polecił mi później, bym pozostał w domu i był na każde zawołanie tego... tego pana.

— Więc pan Darrow nie miał pozostać w domu?

— Jeśli mi wolno zauważyć, sir, to pan Darrow nie zwykł był mi wtajemniczać w swe plany. Pan Darrow powiedział mi tylko rano, że mogę wieczór wyjść, lecz muszę przygotować w lodowni trochę delikatesów, które mogłyby zastąpić na małą kolekcję.

— Ach tak... A kiedy mój przyjaciel... to znaczy pan Darrow zmienił zamiary i polecił panu pozostać w domu?

— Gdy pan Darrow wrócił po południu do domu, sir, i... zobaczył, że... ten drugi pan zachorował.

Wydawało się, że Darrow pragnął być w mieszkaniu zupełnie sam i że niespodziewany powrót Renfrew'a pokrzyżował jego plany.

— Wówczas, sir — wyjaśniał skwapliwie Derwish — pan Darrow oświadczył mi, że będzie jadł w restauracji i żebym uważał na... tego drugiego pana.

— Był trochę zły, co?

— Jeśli mi wolno zauważyć, to nawet bardzo, jakkolwiek pan Darrow jako gentleman tego nie okazywał, jeśli mi się wolno tak wyrazić.

— A potem pan Darrow pewnie telefonował, nieprawdaż?

Lokaj wahał się z odpowiedzią, lecz po chwili rzekł z tem większym ożywieniem:

— Tak, teraz gdy pan o tem wspomni, sir, przypominam to sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

humor
rozrypaki umysłowe

eelcharlie

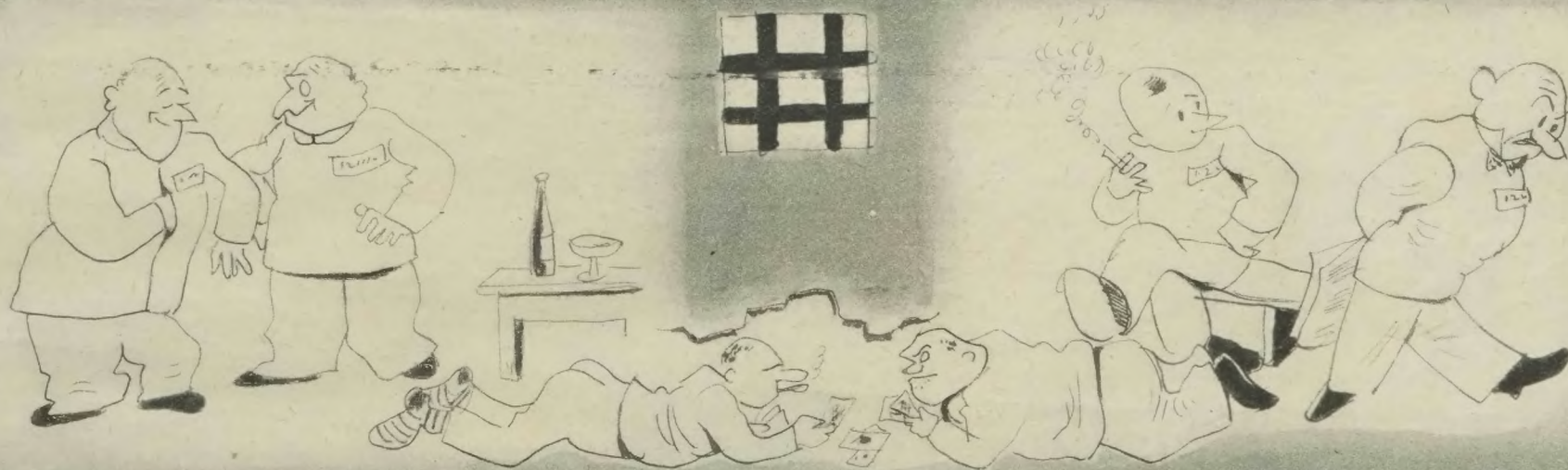
SZARY DOM...



1. — Podgląda pan?! Czy tak robią dobrze wychowani ludzie?!

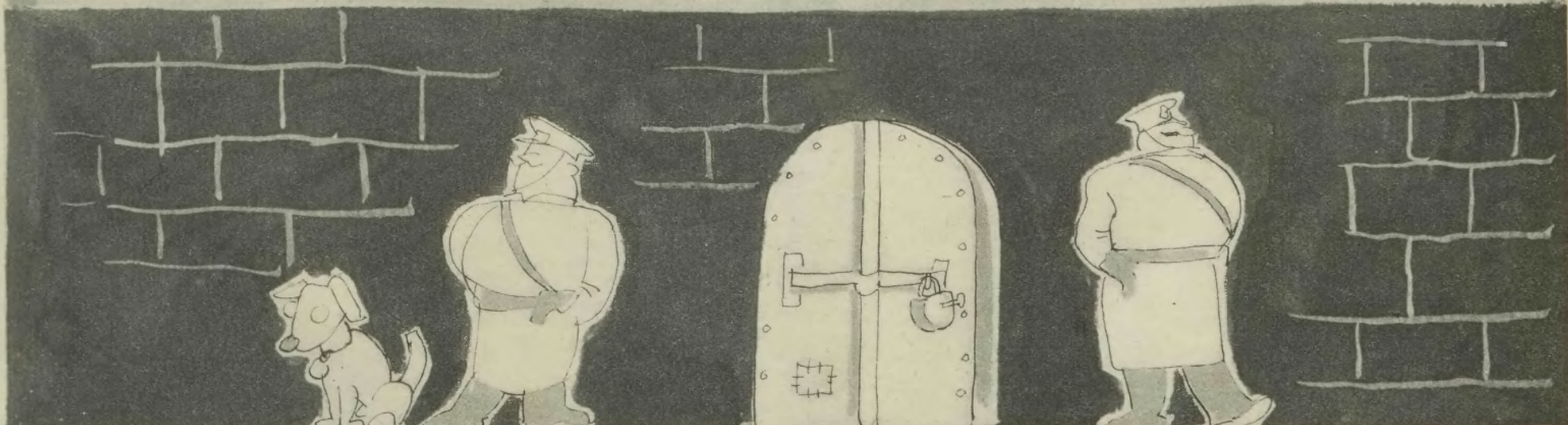


2. — Chciałbym zagrać na loterii, tylko trzeba wyszukać jakiś szczęśliwy numer... Mam; postawię na 13048...!!



3. — Sprzedam panu tanio wspaniałą receptę na robienie pieniędzy.
— Od Dunikowskiego, czy Stawiskiego?...

4. — Sliczna historia; moje długi wzrosły znowu o 40 milionów złotych!
— A w jaki sposób?
— Pożyliśmy od Anglii 130 milionów, niech pan obliczy, ile wypada na osobę...!



Tajny DETEKTYW
TYGODNIK KRYMINALNO-SĄDOWY

ADMINISTRACJA
KRAKÓW, UL. WIELOPOLE L. 1 (PAŁAC PRASY)

TELEFONY: 150-60 do 150-66
KONTO P.K.O. KRAKÓW 412.000

REDAKCJA

Wydawca:
Spółka Wydawnicza „KURIER”.
Redaktor odpowiedzialny:
JAN STANKIEWICZ

PRENUMERATA

KWARTALNA WYNOSI ZŁ. 3.50

Zakłady Graficzne „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego

OGŁOSZENIA: Strona dzieli się na 3 tamy à 80 mm. Cena za 1 mm w jednym łamie 70 gr. Drobne za słowo 15 gr. Nadesłanych artykułów nie zwraca się.



Ajenci policji śledczej legitymują podejrzanego osobnika na
ul. Skalecznej w Krakowie. — Szczegóły wewnątrz numeru.

STACÍ!
RĘCE DO GÓRY!